ROK 59 WE LWOWIE, 1 MAJ 1937 R. Nr. 5

ŁOWIEC
ORGAN MAŁOPOLSKIEGO
TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ODEZWA

W Berlinie dnia 2 listopada br. zostanie otwartą Międzynarodowa Wystawa Łowiecka, w której udział zgłosiło przeszło 30 państw, a wśród nich również i Polska. Protektorat nad działem polskim powyższej wystawy, przyjął Prezes Polskiego Związku Łowieckiego, Generał broni Kazimierz Sosnkowski. Skład Komitetu jest następujący: Prezes Komitetu Hr. Roger Raczyński, Komisarz rządowy inż. Herman Knothe, Przewodniczący podkomisji Dyr. Władysław Grzegorzewski, z członków Zarządu P. Z. Ł. Dyr. Andrzej Śliwiński jako zastępca Prezesa i jako członkowie Komitetu J. Dylewski, B. Gądziorowski, K. Kamieński i Cz. Lisowski.

W dziedzinie eksponatów łowieckich, dział polski będzie zobrazowany wedle zasad regjonalnych i Komitet utworzył 4 rejony a mianowicie: I. Rejon zachodni, II. Rejon centralny, III. Rejon wschodni i IV. Rejon południowy górski i podgórski. Zorganizowanie tego ostatniego Rejonu, poruczył Komitet główny Małopolskiemu Tow. Łowieckiemu, i w tym celu na posiedzeniu w dniu 2 kwietnia br. Wydział M. T. Ł. wyłonił Komitet regjonalny, w osobach: inż. T. Sroczyński jako przewodniczący, A. Mniszek, Stanisław Orski, Wł. Puchalski oraz Dr E. Skowroński jako członkowie.

Komitet w powyższym składzie, podjął się trudnego i odpowiedzialnego zadania, nie wątpiąc ani chwili, że liczne rzesze myśliwych naszego Rejonu, nie odmówią mu poparcia i staną do szlachetnego współzawodnictwa o palmę pierwszeństwa w tej międzynarodowej olimpiadzie myśliwskiej.

Apelujemy z serca do Was Towarzysze z pod znaku św. Huberta! Pokażmy światu, jakie skarby zdobywamy w naszych ukochanych ojczystych kniejach, pokażmy światu nasz, naszych Ojców i Dziadów myśliwski dorobek. Wszystko co jest godne widzenia, skryte obecnie czy to pod skromną strzechą, czy w magnackiej komnacie myśliwskiej, musi wyjść na świat szeroki, zadziwić współzawodników, oszołomić ich potęgą naszych skarbów, ku chwale Ojczyzny naszej i sławie polskiego łowiectwa! Tylko bezwzględną ofiarnością i solidarną współpracą, wywalczymy zwycięstwo, a imię Polski rozniesie się szerokim echem sławy, wśród społeczeństw myśliwskich świata.

Wszelkich informacji udziela komitet regjonalny przy M. T. Ł. Zawiadamiamy, że wszystkie wydatki a nawet koszty opakowania pokrywa Komitet. Prosimy o szybkie zgłaszanie się po karty zgłoszeń i następnie odwrotne ich nadsyłanie, gdyż termin zgłoszeń upływa dnia 1 lipca br. Na wystawę wysyłane mogą być trofea, wykazujące następującą ilość punktów wedle formuły stosowanej na ostatniej Wystawie Łowieckiej we Lwowie.

Wieńce jeleni karpackich najmniej 180 punktów.

Wieńce jeleni nizinnych najmniej 170 punktów.

Rożki sarnie najmniej 130 punktów

Szable dzicze najmniej 1900 punktów.

Poza tym skóry niedźwiedzi, wilków, rysi i żbików wybitnie pięknych, oraz wypchane w całości egzemplarze, lub też wypchane łby. Prosimy również o zgłaszanie wypchanych ptaków, tak łownych jak i drapieżnych, z tym że mają to być trofea odpowiednio preparowane i w odpowiednim stanie.

Pozatem prosimy o zgłaszanie dzieł sztuki o tematach myśliwskich, jak obrazy i rzeźby, starą broń i sprzęt myśliwski, tak by i ten dział był odpowiednio na wystawie reprezentowany.

Komitet dołoży wszelkich starań, by eksponaty powróciły do wystawców w najlepszym stanie, i najprawdopodobniej jeden z członków naszego Regjonalnego Komitetu, będzie obecny w Berlinie przy urządzaniu i likwidacji wystawy, oraz przez czas jej trwania.

Cześć św. Hubertowi!



STANISŁAW KRASICKI

Łowiectwo w Iranie

(Dokończenie)

Gdy wróciłem do samochodu, wszystko było spakowane, tylko butelka piwa stała odkorkowana dla mnie. Wlałem ją duszkiem w siebie. Za samochodem coś czerni na drodze, zaciekawiony idę i widzę głowę odyńca porzuconą na drodze z jedną szablą bluźnierczo wyłupaną. To łeb odyńca Szwajcara. Nie bierze tej głowy, zostawia na drodze szable pierwszego dzika, który był odyńcem! Mam u siebie zdjęcie drogi irańskiej a na niej leży łeb grubego pojedynka, z białymi długimi zakrzywionymi szablami, z czarnymi fajkami, wysuniętymi dobrze z gwizda.

W parę dni później zostałem zaproszony przez renomowanego myśliwego Irańczyka, członka parlamentu, który spędził pół swego życia w Anglii i Francji. Osobiście niesłychanie grzeczny, uczynny, serdeczny, zakochany w Iranie, entuzjasta mocarstwowości i sam jej współtwórca.

Zaproponował mi polowanie w pustyni na gazele. Z radością przyjąłem zaproszenie i rankiem z drugim Irańczykiem, grubawym, w długich spodniach z półkamszkami okrywającymi lakierki, wybraliśmy się w trójkę dwoma samochodami na pustynię. Zrobiliśmy jakichś 200 km poza Teheran, zjechaliśmy z gościńca kierując się wprost w rozlaną przed nami z niebem stykającą się jedną równinę kamienistą, bez drzewa, bez trawki, bez życia pustynię.

Zatrzymaliśmy samochody, przesiedliśmy się z luksusowego, niskiego Lincolna Zephyra do seryjnego Forda. Lincolna zostawiliśmy samotnego, stającego się z każdą chwilą mniejszym, wreszcie malutką plamką punkcikiem w bezmiarze pustynnym, gdyśmy równocześnie zrywnym Fordem zygzakami legawca tropili gazele.

Polowanie w pustyni samochodem, powinno się odbywać — jak się sam namacalnie o tym przekonałem — nie limuzyną ale otwartym. O wiele trudniej jest bowiem i z zamkniętego wozu strzelić i o wiele łatwiej rozbić o dach w bardzo bolesny sposób głowę. Nie trzeba bowiem myśleć, że ta pustynia to bilard, założy się bieg bezpośredni, przyciśnie gaz do deski i jazda przed siebie! Przeciwnie, pustynia to diablo wyrwisty teren, tem niebezpieczniejszy, że głębokie fałdy terenowe są widoczne, jak już prawie przednimi kołami się w nie wlazło. Trzeba być bardzo pewnym i przytomnym kierowcą, by w tempie jakichś 60 km w nagłe wyłaniającą się partię nie wjechać, broń Boże niezahamować, tylko wirażem pod kontem prostym do przeszkody a wypadkową sił kierownicy i poprzedniego kierunku oślizgnąć krawędź kilkunastu metrowej ścianki. Trzeba znać dobrze wygląd piasku, przez który ma się przejechać, bo są miejsca o tak sypkim i grząskim, jak najgorsze bagno. Dla tego też wyprawa w pustynię jest wyprawą z całym arsenałem łopat, desek, łańcuchów, tak jak u nas w zimie.

Jedziemy tak przez pustynię z kilkanaście kilometrów zakosami, mijając i wymijając, objeżdżając głębokie parowy wzrokiem przeszukując ciągle widnokrąg a tu oprócz drgającego, rozżarzonego powietrza, nic nie widać. Nareszcie zobaczyłem szare plamy w odległości jakichś 400 kroków od samochodu. Jeszcze nic nie mówię, ale gdy ruszyły galopem z ogonkami w strunę wyciągniętymi, pokazuję ręką uciekające 4 gazele. Jeden kozioł i stara z dwoma młodymi. Już przedtem wyraźnie zapowiedziałem, że nie będę strzelał chevrotine'ą do gazel i siedziałem z pożyczonym repetjerem starego autoramentu. Mój gospodarz za kierownicą, z tyłu za mną z groźnym brauningiem myśliwy w lakierkach. Tak niby bez znaczenia, informacyjnie, puściłem wiadomość że do kóz nie strzelam. Na to kamaszki odpowiedziały, że im wszystko jedno i strzelają nawet do rodzaju nijakiego, doskonała pieczeń! Nastąpiła ożywiona dyskusja w języku irańskim, po której kamaszki wydały orędzie, że one też nie będą do kóz strzelać.

Gon gazel samochodem polega nie na ściganiu ich, lecz na przecinaniu, na zajeżdżaniu drogi przez nie wybranej. Biedna gazela nie zbacza z raz wytkniętego kierunku. Jeżeli umiejętnie manewruje się samochodem, dojeżdża się stado na kilka kroków.

Dostosowując się do tej taktyki, zaczynamy na pełnym gaźniku nie jechać, ale tańczyć jak na zbałwanionym morzu, w prawie przeciwnym kierunku do uciekającego stadka. Zrozumiałem dopiero teraz, co to znaczy umiejętność prowadzenia samochodu! Okrążyliśmy już tak gazele, że zaczynaliśmy dochodzić do fazy zajeżdżania i gdy zdwoiwszy szybkość, mamy finiszować, nagle zagradza nam kierunek gonu stromy głęboki jar. Błyskawiczna decyzja, gwizd gum zarzucających w nieprawdopodobnie ostrym skręcie i szukanie przejazdu, który się znalazł daleko, daleko a w międzyczasie stado znikło. Jedziemy więc dalej szukać innego. Po dłuższej chwili jadąc nad brzegiem nowego jaru, widzę z daleka 5 sztuk. Pokazuję. Mówią mi, że to osły. Protestuję i w tej chwili nie dalej jak na 50 kroków sztywnym kłusem z zawsze zabawnie podciągniętym ogonkiem ginie za jarem stado. Przejeżdżamy, wyjeżdżamy na wzniesienie i widzimy już nie 5 sztuk ale 8 w tym 4 kozły. Nie boją się, stają i przyglądają się samochodowi, nie dopuszczają jednak bliżej niż na 150 kroków. Mówię memu gospodarzowi pustyni, że chciałbym kulę puścić do stojących. Zajeżdża więc stadko patrzące się na nas może nawet bliżej 150 kroków, a ja z gotowym do strzału sztucerem mierzę do najgrubszego. Naciągam szneller i gdy dobrze muszka siedzi na łopatce, ściągam cyngiel, brzydki odgłos niewypału i stadko rusza w galopie dalej. Po chwili znowu staje i ta sama historia. — Z tyłu za mną kamaszki nie wytrzymały, jakiś nieprawdopodobny jarmark się dzieje. Rozumiem o co chodzi, on chce koniecznie strzelać! Więc niestety nie stajemy, tylko pędem do zbałamuconych gazel zdążamy. Zaczyna się ostatni wyścig. Stado jakby urzeczone ze wszystkich sił goni, ale nie oddala się od pościgu, przeciwnie samo się zbliża. Z każdą chwilą coraz wyraźniej rysują się kontury, widzę już nie tylko daleką sylwetkę, ale jaśniejsze i ciemniejsze odcienia szaty, widzę prężące się muskuły w skokach, widzę raz po raz wygięte łuki pancerza, widzę wreszcie przestrach w dużych ślicznych czarnych oczach,

widzę rozdęte chrapki, widzę otwarty pyszczek zachłystujący może po raz ostatni powietrzem, widzę coraz wyraźniej czarne lśniące się rogi, widzę cienie na nich rzucane przez karby. Ten obraz dla mnie tak nowy, tak ciekawy i w swych ramach nie przypominający zupełnie polowania nie wywoływał myśli strzału, przeciwnie chwycenia tej bądź co bądź ciekawej sceny na kliszę. Przygotowany już uprzednio aparat chwytam w ręce, wychylam się przez okno, celuję wizerem i mam już prztyknąć, a tu nagle huk, gorący dech lufy w głowę, odrzucił mnie z przerażeniem na poduszki samochodu. To kamaszki nie wytrzymały i prawie przez mą głowę wypuściły całą serię chevrotine'y w gazele. Nie wiem do ilu strzelał, może do jednej, a może popstrzył śrutami wszystkie, ale fakt faktem, że jeden kozioł coraz bardziej odstawał od wichrem pędzących, przeszedł w kiwającego się na boki kłusa, potem z dziwnie rozsadzonymi sztywnie stawianymi badylami zrobił parę kroków bez przekonania, tak jakoś obojętnie i nagle przez łeb przewalił się dziwnie ciężko jak na tak zgrabne zwierzę. Ryk triumfu zabrzmiał w limuzynie. Pomimo dobrych hamulców, stanęliśmy z 20 metrów poza leżącą gazelą. Wysiadam i widzę jak na jakichś 150 kroków truchtem na kulawy sztych odemnie oddala się drugi kozioł. Może postrzelony, a może tak bez powodu został się w tyle za stadem. Nie ma czasu do zastanowienia się, w tym niewygodnym skręcie strzelam do gazeli. Wypaliło. Na jedno wyszło, bo pudło!

Wracam w tył do leżącego kozła, gdzie już nad nim klęczy właściciel kamaszków z szoferem. Oglądam ciekawie i dziwię się głębokiej ranie na szyi, robiącej wrażenie głębokiego ccieru od kuli. Pytam się co to ma znaczyć, bo wiem, że gdyby nawet strzelał kulą, to nie mógł jej tak wpakować. Wymowny piłujący ruch palcem po szyi przypomniał mi na tej pustyni gorące debaty sejmowe nad ubojem rytualnym. Zabita gazela miała dwa lata, jak mi na rogach pokazano. Leżąca wyglądała grubo mniejsza, goniąca robiła wrażenie wielkości daniela a teraz mało co większa od naszej sarny.

Po sfotografowaniu na wszystkie strony gazeli wraz z triumfatorem robiącym miny jakby dizonaurusa zastrzelił, wzięliśmy się do jedzenia. Ja kładę się na ziemi, gospodarz krząta koło samochodu, a mój wykwintny długospodni, wylakierowany nemrod, wyciąga chustkę z kieszeni, strzepuje i na tym małym kwadraciku z łatwością i z niesłychaną wygodą w kuczki siada. A trzeba wiedzieć, że to nie pierwsza młodość opadła na chustę, ale jakaś pięćdziesiątka, z wydatnym kiwającym się brzuszkiem na opasłych udach. Takich panów widzi się u nas gdy po obiedzie sapiąc, z cygarem w ustach, z trudnością w głębokim fotelu zakładają nogę na nogę.

Po przekąszeniu i zjedzeniu tradycyjnego melona, jedziemy znowu w poszukiwaniu gazel. Po chwili widzimy małe stadko uciekające na nasz widok z daleka. Objeżdżamy je, gdy w tym z pod kół samochodu wylatuje ciężkim lotem duży, dla mnie nieznany ptak, wypuszczając z siebie białą taśmę kału. To drop! Siada o kilkadziesiąt kroków i widać jak się rozpłaszcza w kamienie i jakąś kępkę burzanów, by nie być widzianym. Nie jedziemy za gazelami, ale zaczynamy objeżdżać wokół dropia. Ja zamieniłem sztucer na dubeltówkę i mam strzelać na rozkaz mego gospodarza. Spiralą zjeżdżamy w miejsce, gdzie ukrył się drop a jego nie widać. Nie mogę zrozumieć gdzie się ukrył. Widziałem najdokładniej miejsce gdzie zapadł, wokoło żadnych nierówności terenu, z tych parę suchych rudych burzanów, nie mógł przecież na nogach wyciec. Zdezorientowani zaczynamy kluczyć, a tu nagle prawie że podbijając koniec mej lufy wystawionej z samochodu, wylatują 3 dropie, znacząc swój start grubym kleksem kału. I proszę sobie wyobrazić, że byłem — odnosząc się z szacunkiem do siebie, powiem tylko — na tyle naiwny, że nie otrzymując rozkazu: strzelać! — jak to było omówione — wypuściłem jeżeli nie pewną dubletę — to w każdym razie możność ubicia jednego dropia. Po paru metrach ciężkiego lotu nabrały machu, te duże ptaki i szybko oddalały się od samochodu, jadącego za nimi pełnym gazem. Do tego pościgu przyłączył się też orzeł, który w ślad za nimi podążył. Orzeł według relacji mego gospodarza odnosi się z wielkim szacunkiem do dropia i stara się atakować od przodu, gdyż napadnięty drop broni się swymi umiejętnościami wypróżniania kiszek. Podobno ze zgrabnością i zwinnością florecisty „tuszuje“ przeciwnika, zalepiając mu kałem skrzydła. Zlepiony orzeł jak koperta, nie może latać i przez parę dni, chcąc nie chcąc chodzi na piechotę.

Szukaliśmy jeszcze i dropi i gazel, lecz bezskutecznie. Słońce było wysoko, niestety trzeba było wracać, gdyż w nocy zostać samochodem na pustyni nie jest całkiem bezpiecznie. Brak punktów orientacyjnych sprawia, że można błądząc w nocy, przejechać pół Iranu.

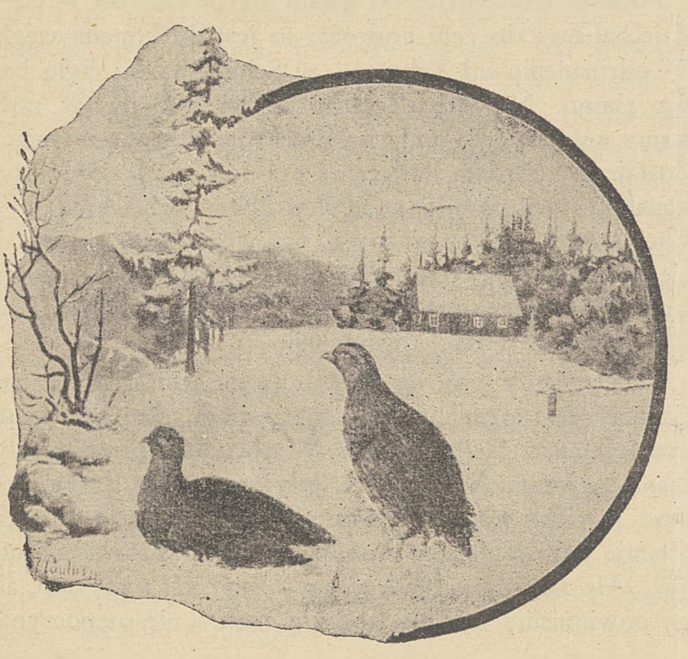
Ostatnim mym polowaniem było polowanie zorganizowane przez nieocenionego Dr. Stumpa w górach Schimschachu, obfitujące w muflony i ibexy. Wyjechaliśmy samochodami dwoma: ja z Stumpem a w drugim 2 Szwajcarów, których nazwisk nie pomnę. Jechaliśmy przez rezerwaty Schacah, drogą wąską o małym ruchu samochodowym, przez krainę w zupełności dziką i strasznie górzystą. Od czasu do czasu spotykaliśmy ciężarowe samochody obładowane węglem i karawany osiołków czarnych od pyłu węglowego. W Schimschachu jest wielka kopalnia węgla. Jeżeli chodzi o węgiel, to pół Iranu jest poprzerzynanych żyłami, a prawie że się widzi kreta, wyrzucającego ryjkiem bryłki węglowe.

Późnym wieczorem, po pięciu się poważnym w góry, dojechaliśmy do celu podróży, to jest do kopalni węgla. W odróżnieniu od Teheranu, w Schimschachu było bardzo zimno. Nic dziwnego bo ponad 2000 m. W nocy mamy wyruszyć na mułach i przekroczyć grubo 3 tysiące. Zostajemy bardzo serdecznie przyjęci przez Dyrektora kopalni, który parę lat spędził w Niemczech i Francji. — Chce koniecznie przenocować nas u siebie, na co my się nie zgadzamy, prosząc tylko o odstąpienie jednej kancelarii. Po wzajemnych ceregielach i grzecznościach, kancelaria stoi do naszej dyspozycji.

Rozstawiamy polowe łóżka, przywiezione przez nas, zjadamy fenomenalnie pieczone pstrągi, dar Dyrektora i zasypiamy. O 2-ej wymarsz. W nocy Stump robi niesłychaną awanturę Schikraczim, gdyż nie mogą dostać mułów. Ja cicho klnę nie otwierając oczu — na mój pech, ostatnie polowanie, i te dziady nie mogą sprowadzić mułów. Ale zasypiam. Nad ranem o 5-tej jest wszystko, ale my powinniśmy być już tam w górach, a nie rozpoczynać

żmudnego, długiego, stromego marszu. Wyjeżdżając, siedząc okrakiem na mule w stroju raczej tropikalnym niż wysokogórskim, zdaję sobie sprawę, że zmarznę jak kupka końska na drodze. Ale cóż robić, to jest los myśliwego, który się wybrał do Iranu jako handlowiec. Im wyżej, tym zimniej, chmury oblepione dookoła gór przesłaniają widok. Stump z niezadowolenia mruczy pod nosem i wreszcie mówi, że z tego nic nie będzie, bo wiatr zły, nie przepędzi chmur, a w tych warunkach nie można marzyć o strzale, w ogóle o widzeniu ibexów. Po drodze zatrzymujemy się przy czajhane, pijemy herbatę, rozgrzewając się nieco i dalej w góry. Od czasu do czasu, gdy się rozerwie szmata tych gęstych chmur z przerażeniem widzę, że nie same wierzchołki, ale grubo niżej dokładnie biało, już i tak ciężko mi wysiedzieć na mule, ręce fioletowe, nogi poważnie marzną, zimny ostry wiatr przewiewa moją porowatą jak organtyna bluzkę i dwa cienkie swetery. Co chwila zawijam ręce, ale to nie na długo pomaga. Pniemy ię tak wyżej i wyżej, z początku kapuśniak, potem krupy, potem skały tak lekko pocukrzone a nareszcie widoczne ślady muła przedemną postępującego. Wicher chwycił mnie w swe szpony. Żartów nie ma, trzeba coś robić. Zsiadam z muła, skaczę jak nie na swe nogi i szybkim krokiem idę pod górę. Po 10 metrach jakieś dziwne rzeczy dzieją się ze mną, serce pod gardłem, w uszach niewyraźnie, a przed oczyma zupełnie źle. Po chwili uprzytomniłem sobie, że jestem w okolicach trzech tysięcy metrów i to ma swą wymowę. To było najprzykrzejsze, człowiek marzł w nieprawdopodobny sposób, a nie mógł szybkim ruchem się rozegrzać, bo mu zaraz serce zawadzało! Już w dobrym śniegu wydostaliśmy się na łańcuch, którym mieliśmy patrolować zostawiwszy muły. Z lornetkami w rękach zgrabiałych, przeszliśmy duży kawał, urwisty, przepaścisty, niestety ciągłe chmury, zawieja syberyjska, uniemożliwiły mi spotkanie z ibexami i muflonami.

Tak to się zakończyły moje łowy w Iranie, niestety bez rezultatu, bez specjalnych przeżyć, jednak chwile tam spędzone zostaną mi zawsze w pamięci i będą bodźcem do zorganizowania może nawet w niedalekiej przyszłości wyprawy myśliwskiej.



WITOŁD ZIEMBICKI

Z ocalonej spuścizny

Wiktor Kozłowski — „Pierwsze początki terminologji łowieckiej“ — Rękopis do drugiego wydania — Kilka dat z życia zasłużonego leśnika.

(Dokończenie)

(Zob. „Łowiec“ 1936, nr. 10 i 11).

O autorze „Pierwszych początków terminologji łowieckiej“ panują wśród myśliwych i leśników, z małemi wyjątkami, wiadomości niedostateczne. Te, które rozrzucone są po starych czasopismach i encyklopedjach, poszły w zapomnienie i są trudno dostępne. Należałoby je odświeżyć i rozszerzyć. Pragnę częściowo bodaj uczynić zadość tej potrzebie, zanim osoba owego cichego i wytrwałego pracownika doczeka się obszerniejszej biografji. Wiadomości, które podam, będą oparte zarówno na źródłach drukowanych, jak na niewyzyskanym dotąd materjale archiwalnym.

Wiktor Kazimierz Grzegorz h. Jastrzębiec Kozłowski, syn Pawła, chorążego kawalerji narodowej i Elżbiety z Dubińskich, urodził się dn. 11 marca 1791 r., w posiadłości dziedzicznej Lubmagierowizna wzgl. Lubmajerowizna w powiecie białostockim[4]). Gimnazjum ukończył w Białymstoku (1802—1810), a po 2-letnich studjach na uniwersytecie wileńskim uzyskał stopień kandydata filozofji (1812). Wstąpił następnie do wojska i służył w 18 p. p. Księstwa Warszawskiego, jako podporucznik, porucznik, kapitan. Odbył kampanię 1812 i 1813 r., w Modlinie wzięty do niewoli, przebywał w niej parę miesięcy, później (1815) przeniesiony został do 8 p. p. linjowej b. Wojska Polskiego. Zwolniony na własne żądanie (1818), poświęcił się leśnictwu, zapisując się do utworzonej wówczas w Warszawie Szkoły szczególnej (teorycznej) leśnej. Po pierwszym egzaminie, który wykazał jego wzorowe przygotowanie, zwłaszcza teoretyczne, a przytem znajomość języków: francuskiego, niemieckiego i łacińskiego, i dał mu kwalifikacje nadleśniczego, wstąpił do służby rządowej, zaczynając od aplikacji w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, a to w Wydziale leśnym (1819 — 1820). Następny egzamin zakwalifikował go na urząd Assesora nadleśnego, który też otrzymał przy Komisji Województwa Mazowieckiego (1820). Powierzono mu następnie nadleśnictwo w urzędzie leśnym w Lublinie z siedzibą w Krzczonowie (1822), a w kilka lat później

[4]) Nazwa chwiejna i zarówno w dokumentach, jak w tradycji występująca w różnem brzmieniu i w różnej pisowni (w metryce Submagierowizna). Spotykana często w księgach metrykalnych 18 i 19 wieku, z nazwiskami mieszkańców jak: Krzywobłoccy, Kalinowscy, Elsnerowie. Mająteczek leżał o 3 km na wschód od Bielska Podlaskiego, w bezpośredniem sąsiedztwie wsi, zwanej Widów, miał obszaru 3 włóki, 15 morgów lit., 3 pr., 52 pręcików, nadto na terenie gruntów m. Bielska 4 morgi, 64 pr. i 10 pręc. Obecnie wcielony do Widowa. Po dawnem gospodarstwie dworskiem pozostało jedynie parę starych drzew. (Informacje te zawdzięczam uprzejmości W. X. Antoniego Borowskiego, proboszcza w Bielsku Podlaskim i WP. Alfonsa Erdmana, burmistrza tego miasta).

(1828) mianowano go członkiem Rady Szkoły szczególnej leśnictwa i nadleśnym w Bodzentynie, a zarazem profesorem praktyki niższej w temże leśnictwie. Za gorliwość i zasługi nadano mu (1829) order św. Stanisława kl. III, następnie zaś Znak honorowy w uznaniu nieskazitelnej służby w ciągu lat 15 (1830).

Po wybuchu powstania zaciągnął się Kozłowski w szeregi i służył przy Strzelcach krakowskich, a raniony w bitwie pod Józefowem wycofał się w zacisze domowe. Musiał jednak potem opuścić służbę rządową i do r. 1839 pracował w Ordynacji Zamoyskiej jako „technik“.

Przyjęty ponownie na aplikację w Wydziale Dóbr i Lasów w Komisji Rządowej Pdów i Sk. (1839), otrzymał wkrótce potem (1840) kierownictwo leśnictwa Chlewiska, w ówczesnej gub. radomskiej, gdzie w charakterze nadleśniczego pozostawał już do końca życia.

Po parutygodniowej chorobie zmarł dn. 25 stycznia 1858 w wieku lat 67. Osierocił żonę i czworo dzieci: Hipolitę, Wiktora, Tytusa i Leopolda.

Już z tego krótkiego przedstawienia nabrać można niejakiego pojęcia, kim był Kozłowski. Był to, jak widzimy, człowiek o wyższych studjach, o wykształceniu nieprzeciętnem, pracowitości i obowiązkowości wzorowej, wyszkolenia wreszcie pierwszorzędnego w swym zawodzie, tj. w zawodzie leśnika, który sprawował przez lat 40.

Współcześni przekazali nam jednak o nim ponadto jeszcze coś więcej. Nazywali go znakomitym pedagogiem i wychowawcą i podnosili zalety charakteru, dla których otaczał go powszechny szacunek. Na cmentarzu w Chlewiskach, gdzie spoczęły jego szczątki, wznieśli mu przyjaciele i uczniowie piękny i oryginalny pomnik: odlany z żelaza i wykonany w Rzucowie, pień dębowy[5]).

Zgodnie z mem założeniem, nie mogę tu wchodzić w omawianie szczegółów z życia Kozłowskiego, z których niejeden omówienia a nawet wyjaśnienia by wymagał. Zwrócę jednak uwagę na pewną cechę oryginalną, którą uważam za najcharakterystyczniejszą jego właściwość. Jest to dar kolekcjonerski. Kozłowski był urodzonym zbieraczem. Zbierał różne przedmioty i okazy, z jego zawodem związek mające. Dał przytem dowody nietylko podziwu godnej pedanterji ale i pomysłowości.

I tak zestawił np. najrozmaitsze gatunki drzew i krzewów leśnych, sporządzając z każdego rodzaj pudełka w kształcie książki, a w wielkości małej ósemki; każdy tom miał jedną okładkę politurowaną, drugą heblowaną, grzbiet wykonany z kory, nagłówek z hubki, a wewnątrz szufladkę, mchem wysłaną, z tabliczkami, przedstawiającemi przecięcie ukośne i poprzeczne danego drzewa, jego nasiona, trociny, popiół, wiórki, latarośl z kwiatem i owocem, liście, wreszcie owady na niem żyjące. Zbiór obejmował 72 gat., jego duplikat 80 gatunków. Nadto zbudował Kozłowski rodzaj piramidy, złożonej ze 100 gatunków drzewa; inną kolekcję zestawił z 62 sztuk odcinów, 75 kwiatów i 50 gatunków nasion; ułożył zielnik z drzew i krzewów, w Królestwie Polskiem rosnących. Miał zbiór minerałów, ptaków wypchanych, zbierał jaja ptasie.

[5]) Pisze mi WX. Jan Dąbrowski, proboszcz par. Chlewiska, że pomnik, wraz z umieszczoną na nim tablicą, jest w dobrym stanie, ogrodzenia jednak nie posiada żadnego.

Wszystkie te kolekcje otrzymały specjalne przeznaczenie. Tak np. zbiór 111 gatunków jaj ptasich poszedł do Wydziału dóbr i lasów przy Komisji rządowej przychodów i skarbu, drugi, złożony ze 135 gatunków, do gabinetu historji naturalnej w Petersburgu. Jedna z „bibljoteczek“ drzewnych ofiarowana została Instytutowi gospodarstwa wiejskiego i leśnego w Marymoncie, próbki



Pomnik Wiktora Kozłowskiego w Chlewiskach
(„Tyg. Illustr.“ 1864, IX, 76).

drzew otrzymała Szkoła leśna aplikacyjna w Warszawie, nasiona gabinet płodów przy Rządzie gubernjalnym radomskim i t. d. Obdarowane też zostało gimnazjum w Szczebrzeszynie, otrzymując minerały i 52 dzieł zagranicznych w 98 tomach.

Czemże innem było zbieranie wyrażeń zawodowych, jak nie objawem tego samego popędu? Zbierał je Kozłowski z zakresu łowiectwa, z zakresu leśnictwa, pszczelarstwa i pasiecznictwa, zbierał wyrazy techniczne, używane przy spławianiu wyrobów drzewnych.

Wydał najpierw swą Terminologję łowiecką. Rzecz była gotowa w r. 1821, prasę drukarską opuściła w lutym 1822. Kozłowski miał więc wtedy lat 30, był na swym urzędzie leśnym w Lublinie, a około 4 lat w leśnictwie. Prawdopodobnie dopiero w tym okresie, idąc za wrodzoną skłonnością, zaczął pracować nad słownictwem. W dedykacji, skierowanej do hr. Ludwika Platera, jeneralnego dyrektora lasów rządowych w Królestwie Polskiem, pisał:

„Jako urzędnik leśny kraju polskiego, zamożnego w lasy, oddany memu powołaniu, zajmując się leśnictwem, zwróciłem uwagę razem i na łowiectwo, jako część tej nauki; przez wzgląd zaś na niedostatek dzieł tego rodzaju w języku polskim, uznałem za rzecz potrzebną dla swych Rodaków wydać krótki zbiór wyrazów, przez myśliwych naszych używanych“.

Terminologją została przez opinję przyjęta życzliwie i z uznaniem. Skrytykowano tylko nieco tytuł, jakoteż zawartą w przedmowie definicję różnicy pomiędzy „myślistwem" a „łowiectwem", wysunięto też — zupełnie niesłuszną uwagę, — że dobrzeby było do wyrażeń polskich dodać cudzoziemskie. Może dlatego, pragnąc wydać następnie podobną terminologję leśną, ogłosił Kozłowski w prospekcie, że będzie ona opracowana w 3 językach: polskim, francuskim i niemieckim. Ale do tego wydania nie przyszło. Dopiero w r. 1846 opublikował w „Sylwanie" Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski, wydany tegoż roku także osobno. Nad wyrazownictwem łowieckiem pracować nie przestawał, zbierając, jak widzieliśmy, uzupełnienia do drugiego wydania. Pracę tę kontynuował do końca życia, a więc od wydania „Pierwszych początków" przez lat 36. Prócz słownikowych ogłaszał i inne prace. Pisywał do „Sylwana". Na uwagę zasługuje obszerniejsza rzecz „O wyżle czyli psie legawym" („Sylwan", Warszawa, 1835 i 1836).

W roku 1857, na kilka miesięcy przed śmiercią, Kozłowski dwukrotnie pogorzał. Ogień podłożony być miał przez mściwego i niesfornego osadnika. Pożar, prócz innych rzeczy, strawił bibljotekę Kozłowskiego, w zajmowanej przez niego osadzie, zwanej Stanisławowem. Był to dlań cios straszliwy. Podobno błąkał się potem po zgliszczach, grzebiąc w nich i szukając jakichś cennych przedmiotów, czy zapisków. Cząstka przecież ocalała. Bo po jego śmierci znaleziono w skrzyni „Sylwany" i urzędowy Dziennik gubernjalny. Sobieszczański w cytowanym już artykule z Encyklopedji Orgelbranda przekazał wiadomość o pozostawieniu przez Kozłowskiego w rękopisie materjałów słownikowych i Opisu ptaków śpiewających.

Do tej to „ocalonej spuścizny" należy rękopis, o którym na początku mówiłem. Niewątpliwie ze spuścizny tej rzecz najcenniejsza. Bo bez względu na ilość i wartość innych swych pism, Kozłowski będzie miał trwałe imię u potomności przedewszystkiem jako autor pierwszego polskiego słownika łowieckiego.

ŹRÓDŁA.

Gazeta Warszawska, 1822, Nr. 18, 20, 26. — Chełmiński M., Wspomnienie o Wiktorze Kozłowskim, nadleśniczym leśnictwa Chlewiska, „Gaz. rolnicza" 1863, Nr. 26. — Na podstawie tegoż artykułu napisany przez A. K. życiorys Kozłowskiego w Tyg. Illustr. 1864, IX. Tamże rycina, przedstawiająca pomnik w Chlewiskach. — Encyklopedja powsz. Orgelbranda t. XV, Warszawa, 1864, str. 803. Artykuł podpisany F. M. S. (Franciszek Maksymiljan Sobieszczański). Częściowo na tem źródle oparł się J. Oreński w artykule p. t.: Sto lat słownictwa łowieckiego, Łowiec Polski, 1924, Nr. 11. — Kalendarz Rodzinny na r. 1875, Warszawa 1874, str. 45. (Krótki życiorys Kozłowskiego z portretem, którego reprodukcję podałem w niniejszej pracy). — Archiwum państw. w Radomiu: Akta Rządu gub. radomskiego. Sygn. dawna: Apx 5682, teraźniejsza: XXXI — K — 305, XXXI — K — 306, XXXI — K — 307. Stąd pochodzi podobizna pisma Kozłowskiego podana przezemnie (305 k 142) i jego podpis (306 k 1). — Archiwum Akt dawnych w Warsz.: Zespół „Rada adm." Nr. 112 a. K. 28. — Arch. ord. Zamojskiej w Zwierzyńcu, Nr. 318. O.



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Piękne spotkanie

Z przełęczy pomiędzy Kopami Królowych, obok Kopy Magory, schodziliśmy ku hali Gąsienicowej, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Niskie, nawisłe chmury przewalały się przez szczyty Tatr, wypełniając doliny i zagłębienia ciemnym kłębowiskiem mgły. Smugi deszczu centkowały coraz bardziej mój jasny kostium sportowy, niszczyły ondulację złotych kędziorów mej towarzyszki. Przyspieszyliśmy kroku, przechodząc w równy, rytmiczny bieg, aż wpadliśmy zdyszani w rozwarte szeroko i gościnnie podwoje schroniska. A tym czasem na dworze rozszalała się zuchwała górska ulewa, rodząca tysiące strumyków, kaskad i potoków, rwących z dzikim szumem szczelinami i żlebami szczytów.

Wypęczniałe, napchane plecaki poszły w kąt. Usiedliśmy przy szklankach mile parującej, aromatycznej herbaty, błądząc wzrokiem po wyłaniających się ze zwałów chmur grzbietach górskich, szczerbionych i przyćmiewanych kłębami mgieł i białą firanką padającego deszczu. Zapanowała nudna atmosfera nizinnego pensjonatu. Turyści błąkali się po izbach, wyglądając przez okna, lub blagując niemiłosiernie na temat rzekomo przeżytych przygód. Ulewa zmniejszyła się, przechodząc w zwyczajną, długotrwałą zakopiańską „siąpawicę". Tylko odsłaniające się na chwilę przepiękne wysokogórskie obrazy świadczyły wymownie o tem, gdzie jesteśmy i co dać może wyczekiwane jutro.

Z prawdziwą przyjemnością wyciągnęliśmy się na wygodnych łóżkach schroniska, pogrążając się w twardy, pokrzepiający sen zmęczonego człowieka. Po szybach dzwoniły, spadając smutne krople deszczu, a wyniosłe smereki okoliczne wyły żałośnie targane szponem wściekłej wichury. I kiedyśmy tonęli w objęciach Nirwany — gwałtowny wiatr zerwał mglistą opończę chmur, poszarpał ją i wyrzucił poza wysoki próg Tatr, a sam zagubił się wśród szczytów i turni, spokorniał, zmalał, ucichł. Na ciemne dotąd niebo podniosła się granatowa zasłona, lśniąca iskrami srebrnych gwiazd, wytoczył się pyszałkowaty, nadęty dysk księżyca, mrugającego bladą twarzą z za strzępów przesuwających się przed nim obłoków. Cicha, ciepła noc otuliła lubieżnie marsowe i zastygłe oblicze tej majestatycznej krainy.

O wschodzie słońca opuszczaliśmy halę Gąsienicową, rozbrzmiewającą jazgotem dzwonków, beczeniem owiec, zgiełkliwem poszczekiwaniem psów i gromkiem nawoływaniem się juhasów. Chaos i wrzawa tej doliny przykrym dysonansem mąciła dostojną ciszę górską, to też przyspieszaliśmy ustawicznie kroku, byle tylko prędzej oddalić się od tego skalanego ludzkim hałasem zakątka, którego

ANTONI PISULIŃSKI

Krokodyl afrykański

(Ciąg dalszy)

Krokodyl ma — stosunkowo do swej pojemnej paszczy — przełyk wąski, stąd też nie może nawet większej ryby w całości połknąć. Każda większa zdobycz — człowiek by to był, lub zwierzę — musi być wpierw pokawałkowana.

W tym celu wywleka ją na brzeg w spokojny jaki zakątek, gdzie operacja ta idzie już szybko dzięki potężnym jego szczękom i uzębieniu. Dokonuje tego tylko nocą i to w czasie największej ciemności.

Po schwytaniu większego zwierzęcia lub człowieka stara się ich momentalnie utopić. Raptownym ruchem wciąga je na głębie, uniemożliwiając tym sposobem swej ofierze jakąkolwiek obronę, co dla duszącego się pod wodą jest zresztą wprost nieprawdopodobne.

Jeśli kto kiedykolwiek wyszedł żyw z takiej opresji, to jedynie wtedy, gdy mu jaszczur już w pierwszym chwycie odciął rękę lub nogę, a rychła pomoc znajdujących się w pobliżu ludzi tak okaleczałego z wody wydobyła.

Znam wypadek, gdzie krokodyl uchwyconego za nogę murzyna dobrowolnie z szczęk wypuścił, ale powodem tego była okoliczność, że wyskoczywszy z nurtu rzeki jak torpeda razem z biednym murzynem, na ławicę piaskową wyleciał. Znalazłszy się w niewygodnym dlań — a nawet niebezpiecznym położeniu — nie mogąc dość rychło zrejterować na głębsze miejsce, i wobec piekielnego wrzasku nadbiegających ludzi — ze zdobyczy swej zrezygnował. Murzyn ocalał, ale kulał całe życie, mając ścięgna u nogi poprzerywane.

Takie jednak wypadki są rzadkością. Natomiast kto raz dostał się pod wodę, był beznadziejnie stracony. Krokodyl — jak opowiadali murzyni nad Zambezą — zwykł po utopieniu zdobyczy żywej przetrzymywać ją czas dłuższy w wodzie, leżąc na niej. Miałoby to na celu uchronienie jej przed niepożądanymi konkurentami, którzyby się chętnie jego łupem podzielili, rzekomo także dla szybszego rozkładu ciała i ułatwienia sobie pracy przy kawałkowaniu.

Jakkolwiek krokodyl może długi czas obejść się bez jadła, to jest on — wedle zdania tubylców — zawsze głodny i wprost nienasycony.

— — — — — — — — — — — — —

W Tete, miejscowości, leżącej na pograniczu dolnej i środkowej Zambezy, natrafiłem na krokodyle, które z predylekcją polowały na ludzi. Mowa tu oczywiście o tych starych potężnych egzemplarzach, które — żeby się po ludzku wyrazić — na tych łowach zęby zjadły. Bezczelne — a ostrożne!...

Wedle zgodnej opinii tamtejszych mieszkańców, tak białych jak i czarnych, liczba ofiar ludzkich, porywanych rok-rocznie przez te jaszczury, w samym dystrykcie teteńskim szła w liczne setki.

Wprawdzie statystyki w tym kierunku nikt nie prowadził, zwłaszcza że tu szło tylko o murzynów (bardzo tani podówczas towar w tych okolicach), ale szereg wypadków, jakie się wydarzyły w czasie mego tam pobytu, mogły mię utwierdzić o prawdziwości tych cyfr. Najbardziej przekonywujące były te wypadki, jakie się rozegrały w najbliższym moim sąsiedztwie w czasie pory deszczowej.

---

wścibskie echo prześladowało nas jeszcze aż do podnóża Małego Kościelca, martwej pustyni granitowych głazów.

Dopiero kotlina Czarnego Stawu Gąsienicowego odseparowała nas od dźwięków cywilizowanego świata. Tutaj panowała już niepodzielnie martwota i pełna powagi oraz majestatu cisza. Ale właśnie ta cisza najwymowniej działała na człowieka, najbardziej go oczarowywała. Jak nigdy w życiu — czuło się tu swoją nicość wobec potęgi i wielkości tych skał, wyrosłych zda się wprost z jeziora o czarnej, atramentowej wodzie. Jedynie toń wschodniego pobrzeża, rozcieńczona złotym potokiem wyrosłego nad szczyty słońca — nabierała stopniowo jaśniejszej lazurowej barwy.

Okrążywszy Czarny Staw, stromą, skalistą ścianą, wyszliśmy przez przełęcz pod Zawratową Turnię. Zmęczeni dłuższym marszem — usiedliśmy na potężnym bloku nieopodal ścieżki. Otaczała nas groźna, imponująca korona szczytów zamykająca zewsząd dziką kotlinę Zamarłego Stawu, obramowanego rumowiskiem głazów zupełnie prawie pozbawionych roślinności, urozmaiconych jedynie bielą śniegów, rozsiadłych pasmami w szczelinach i zagłębieniach. Widok był ponury, przejmujący dreszczem zgrozy. Zamarła górska pustynia, bez śladów uśmiechu i życia. Powietrze było chłodne i czyste, niezmącone żadnym aromatem, a tylko subtelna woń pudru i perfum mojej towarzyszki, przejaskrawiona brakiem innych odorów, rozchodziła się dokoła w tchnienie leciutkiego wietrzyka.

Spojrzałem na nią. Siedziała tuż przedemną z twarzą wspartą na dłoniach, a opalonymi łokciami, wynurzającymi się z krótkich rękawków białej bluzki, dotykała podgiętych kolan. Wesoły, chociaż obecnie skupiony wyraz twarzy, mówił, że odczuwa i wchłania to piękno dzikiego otoczenia, że zachwyca się złotą aureolą słońca, zapalającą się nad poszarpaną linią grzbietów. Łagodny podmuch potrząsał rozwianymi puklami włosów, wymykającymi się z pod szafirowego beretu. Mówiliśmy ze sobą niewiele, było tu zbyt pięknie, aby tracić chwile na rozmowy. Długi czas trwaliśmy w niemej kontemplacji, błądząc wzrokiem po jaśniejszych smugach piargów, czołgających się u podnóża turni, to znowu po ciemnych, prawie czarnych pasmach żlebów, pełznących aż gdzieś ku graniom i szczytom.

Naraz wionął ku mnie silniejszy zapach jej perfum pomieszany z leciuchną, ledwie wyczuwalną wonią dziewczęcych włosów, a drobna, kształtna rączka spoczęła nerwowo na mej dłoni. Nie bez zdziwienia podniosłem na nią wzrok. Oczami wskazała nad nami piętrzącą się turnię. Początkowo nic nie mogłem dojrzeć, potem jednak, przebiegając za jej wejrzeniem jedną z niższych grani — drgnąłem, a ręka niosąca do ust kawałek czekolady — zamarła.

O sto metrów, na prostopadłej ścianie, jakby przyle-

Na piasczystej plaży rzecznej, gdzie dzień w dzień schodzili się murzyni z najbliżej położonych domostw, aby tam prać swe chusty, lub czerpać wodę — zginęło od krokodylów pięcioro ludzi w ciągu trzech tygodni, w tym trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Wszyscy ci ludzie należeli jako służba, względnie niewolnicy do właścicieli tych kilku domów najbliższych tej plaży — Portugalczyków.

Jeśli na tym małym skrawku zdołały krokodyle sprzątnąć w tak krótkim czasie pięcioro ludzi, to ileż ludzi musiało zginąć w ciągu pory deszczowej i wylewów (około 6 miesięcy) na wielokilometrowym pobrzeżu teteńskim, nad którym ciągnęła się ogromna wieś murzyńska!?

Gdy jaki wypadek zdarzył się na dalszym miejscu, ale w obrębie osady europejskiej, to miałem zaraz raport od moich ludzi, jeśli miejsce porwania leżało gdzieś dalej, dowiadywałem się tylko przypadkowo. Na ogół mówiono o tych wydarzeniach, jako o czymś zwyczajnym, jako nowinkę, nad którą nie warto dłużej się zastanawiać.

Ludzie ginęli jak muchy (co prawda dziesięćkroć więcej umierało ich w tym czasie z głodu), a nikomu nie przychodziło nawet do głowy, tak tubylcom, jako też tym białym, którzy w Tete mieszkali, aby w jakikolwiek sposób przeciwdziałać tej pladze.

Było to dla mnie, nowego przybysza z wybrzeża, nowicjusza na terenie afrykańskim, a rwącego się do każdego polowania — zbyt podniecające, aby nie spróbować zapolowania na owe jaszczury-ludojady. Byłem pewny, że uśmierciwszy lub pokaleczywszy parę z pośród nich, płazy te przeploszę, a przynajmniej potrafię je utrzymać z dala od owej plaży, gdzie również i moi ludzie czerpali wodę.

Niestety wszystkie moje wysiłki, aby w tym kierunku osiągnąć jakieś widoczne rezultaty, spełzły na niczym. Broń palna okazała się najmniej odpowiednim narzędziem do niszczenia krokodylów.

Zasiadki nad brzegiem rzeki wśród rozpalonych od słońca skał (Tete jest jednym z najgorętszych punktów na Zambezie) — już było zadaniem ponad wytrzymałość przeciętnego śmiertelnika. Do tego Europejczyka! Poza tym mętna w tej porze woda nie dawała wiele sposobności do wypatrzenia przepływających bliżej brzegu krokodylów, te zaś co się czasem zjawiały, tak jak były bezczelne, tak też były i ostrożne. Jeśli wreszcie raz i drugi udało mi się odkryć wśród fal wychylające się na powierzchnię ich guzy oczne i starałem się złożyć — momentalnie znikały pod wodą. Kilkanaście wystrzelonych w ciągu tygodnia naboi (oczywiście na wiwat), spalony do niemożliwości nos, ręce i ramiona, ostudziły znacznie mój zapał.

Należało wymyśleć coś innego.

Wiedziałem, że niektóre potwory morskie, jak np. rekiny, łapią na odpowiednio silną wędkę — na hak, wątpiłem jednak, czy większy krokodyl weźmie w wodzie przynętę, a właściwie czy ją tam potrafi połknąć, bo tylko w ten sposób możnaby go rzetelnie zahaczyć.

Zresztą należycie silnego haka nie miałem, a tu rozchodziło się o krokodyle co najmniej trzymetrowej długości. Przypadek jednak przyszedł mi z pomocą.

Powracający od wodospadów Wiktorii do wybrzeża myśliwy p. S. zatrzymał się w Tete. Zawadził o moje domostwo, skąd znajomość, która okazała się dla mnie bardzo cenną.

---

piona do wąskiej perci skalnej — stała kozica. Mocno zagięte do tyłu rogi znamionowały starego capa. Nastawione łyżki i bystre, wytrzeszczone oczy świadczyły o nadzwyczajnej ostrożności zwierzęcia. Długi, płową łysiną znaczony łeb skierowany był ku dalekiej tafli Zmarzłego Stawu. Tkwił jak posąg ze spiżu, tylko drgające niekiedy łyżki wskazywały na to, że jest to żywe ciało najrzadszej polskiej zwierzyny.

W całej zebranej w sobie, usztywnionej postawie capa zwolna następowało odprężenie. Zniżył pięknie ozdobiony łeb, zdając się obwąchiwać granitową ścianę, potem podniósł go znowu i ruszył wolno przepaścistą ścieżyną, na której wątpię, czyby najlepszy taternik utrzymać się potrafił.

Siedząc u podnóża turni w przybytku dzikiej przyrody i łowów górskich na tę wspaniałą zwierzynę — czułem się jakoś dziwnie nieswojo, ogarniała mnie nieśmiałość i pewien rodzaj lęku, jak intruza i świętokradcę, przychodzącego zbezcześcić powagę świątyni, wnieść do niej odgłosem swych kroków i mowy przykry zgrzyt, drażniący dysonans. Czułem się niewymownie szczęśliwy, że mnie, synowi lasów litewskich i białoruskich mszarów, knieja tatrzańska ukazała w całym majestacie największą swą ozdobę ,którą niewielu zapewne polskich myśliwych mogło na łonie natury oglądać.

Cap kroczył dalej niebezpieczną percią, wtem zatrzymał się, gwizdnął i pomknął jak strzała po stromem, pionowem prawie zboczu. Stało się coś wprost niebywałego. Sprężone jak stal mięśnie nóg zwierzęcia niosły je po takich wertepach, gdzie trudno było przypuścić, by raciczny czworonóg mógł choćby przez ułamek sekundy się utrzymać. A jednak kozica tamtędy biegła, źle mówię, leciała, bo istotnie takie robiła wrażenie. Czytałem wiele opisów o nadzwyczajnych skokach tych zwierząt, jednak rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. Cap już zniknął w oddali i tylko strącone w susach kamyki spadały na dół z głośnym szelestem.

Pod wrażeniem tego nadzwyczajnego wyczynu kozicy — siedziałem jak zahipnotyzowany, patrząc wciąż na niezdobytą, zda się, ścianę turni, ścianę — po której żadne inne zwierzę wejść nawetby nie próbowało. Myślami byłem z nim, mocarnym skalnym rogaczem, wychowanym w krainie wichrów, śniegów i śmierci. Odtwarzałem w pamięci piękną, wyrazistą jego sylwetkę, kształtny łeb, sprężyste nogi...

Opalona na bronz, wąska rączyna towarzyszki dotknęła mego ramienia, a chaber jej oczu, rozjaśnionych pogodnym blaskiem, podniósł się ku mej twarzy.

— Idźmy dalej, — rzekła.

Powstaliśmy.

Ponieważ od szeregu lat polował w południowej Afryce i zwiedził także okolice leżące nad rzeką Limpopo *), miał sposobność obserwowania tam Burów, łapiących krokodyle na wędkę z kołkiem — zamiast haka. On to mię pouczył, jak taką wędkę się sporządza, jak się zakłada przynętę i jak taką wędką się posługuje, aby odpowiedziała zadaniu.

Ale najlepiej wykonany sprzęt rybacki nie pomoże, gdy się nie ma dłuższej praktyki w łowieniu, a zwłaszcza w holowaniu zahaczonej już zdobyczy. Wiedzą o tym dobrze doświadczeni wędkarze; niestety ja wówczas jeszcze nim nie byłem.

Nic też dziwnego, że i następne — już z wędką urządzone łowy — nie dopisały.

Trzy potężne jaszczury, jakie w dwóch po sobie następujących nocach dały się wziąć na „kołek", straciłem. Holowane „par force" przy pomocy czterech moich ludzi, zdołały się (zapewne dobrze pokaleczone) zerwać z kołka.

Podczas tych niefortunnych prób holowania dopiero poznałem kolosalną siłę krokodyla w wodzie. Stwierdziłem niezbicie w każdym z tych trzech wypadków, że wspólne nasze siły w piątkę (ja i czterech murzynów) nie starczyły na to, aby choć na chwilę powstrzymać szarpiącego się płaza, tym mniej osadzić go na miejscu. Gdyby nie pal, do którego koniec liny był uwiązany, wszystkie trzy sztuki byłyby się nam z rąk wydarły. Pal ocalił wędkę — ocalił też i płazy, które w ciągu szarpania się „kołek" z siebie wykrztusiły.

Niepowodzenia te jednak nie zniechęciły mię i tym razem. I owszem. Dowód, że krokodyle idą na wędkę, był niezbity, a emocja, jaką miałem, tak przekonywająca, że postanowiłem kontynuować te łowy aż do skutku, tym bardziej, że w ten sposób łowiło się tylko podczas nocy, a nie wśród piekielnego gorąca, jakie dzień przynosił.

Składając winę „na kołek" (lina była również za krótka), zastąpiłem go hakiem. Nie był to wprawdzie hak stalowy, ale dość gruby i pozornie mocny, jednoramienny hak żelazny, który mi sporządził z pobliskiej wsi — kowal murzyn.

Był długości około 25 cm, gruby w przekroju na 8 mm i, jak mię zapewniał jego twórca, wystarczający na sztukę choćby dwustokilogramową.

Mając teraz wędkę z hakiem, byłem pewny, że krokodyl — o ile tylko da się zwabić do przynęty i hak połknie — nie będzie już mógł z niego się uwolnić.

Byle tylko przyjść zechciał — myślałem — byle tylko skosztował wyłożony dlań smakołyk!...

A na przynętę użyliśmy tym razem żołądek kozi, wypełniony mięsem, przy czym, aby ułatwić jaszczurowi chwyt paszczą, ułożyliśmy ją na niewielkim kamieniu, pokropiwszy — dla odwonienia naszych śladów i naszej roboty — tak przynętę, jako też kamień, linkę i całe otoczenie zawartością kiszek.

Aby moje zabiegi nie okazały się bezowocne, wybrałem na ten nowy łów noc najciemniejszą: dwa dni przed nowiem księżyca, obawiałem się bowiem, że pokaleczone i wystraszone krokodyle już na tę samą plażę wypełznąć się nie ważą.

Owej to nocy, przygotowawszy wszystko zaraz po nastaniu ciemności, ułożyłem się wraz z moimi murzynami na dwadzieścia kroków od przynęty, dobrze ukryty za głazami (i z dobrym wiatrem) na czatach.

Przygotowany na to, że będę musiał długo na krokodyla czekać, ułożyłem się na przyniesionej w tym celu macie, aby ewentualnie się przedrzemać.

Tymczasem krokodyl zrobił nam niespodziankę. Już w pół godziny po naszym odejściu od brzegu jakiś szmer przy przynęcie dał nam poznać, że coś się tam dzieje. Zacząłem się podczołgiwać ku palikowi, który mogłem jako-tako w tej ciemnicy rozróżnić. Zbliżywszy się doń, zobaczyłem, że linka złożona w kręgi powoli się odwija. Wziąłem ją ostrożnie w ręce i popuszczając zawołałem do murzynów: — do mnie, chłopcy!

W tej chwili silne szarpnięcie mało nas nie obaliło na ziemię.

Pochwyciliśmy mocniej za linę, teraz już wszyscy, ale ta, wysuwając się nam z rąk, zatrzymała się dopiero na paliku, który zaczął się chwiać.

Naraz, podczas gdy staramy się palik asekurować, czujemy dziwny wstrząs, poczym wyprężona dotychczas linka bezwładnie w wodzie opadła. Po chwili wyciągnęliśmy wędkę; niestety, nie tylko bez zdobyczy, ale również bez przynęty. Hak był złamany.

Krokodyl — a musiała to być potężna sztuka — i tym razem uszedł.

Mimo widocznego pecha, który mię prześladował (jak sądziłem), nie chciałem jeszcze dać za wygraną. Już na drugi dzień kazałem kowalowi odkuć nowy hak, ale już dwuramienny, sam czuwając przy robocie, aby żelaza nie przepalił. Do linki dawnej doczepiłem jeszcze dalszych dwadzieścia metrów (razem miała teraz około 40 metrów), aby móc jak najdalej zahaczonego jaszczura wypuścić i tym sposobem, hamując o ile się da najdłużej, dobrze go zmęczyć, zanim ją w całości wytroczy.

Z takim planem w głowie — już znowu po trzech dniach przerwy — zasiadłem z moimi ludźmi w pobliżu wyłożonej przynęty.

Noc była gwiaździsta, więc nie bardzo sprzyjająca takim łowom. Kilka godzin oczekiwania nic nam nie przyniosło. Po północy zerwał się wiatr i napędził trochę chmur, poczem zaczął deszcz pokropywać. Nastała cisza, wśród której slychać było każde lekkie pluśnienia fal na rzece. Jeszcze godzina jedna i druga — i nic.

Znudzony i śpiący już chciałem wracać do domu i murzynom zostawić dalszą pieczę nad wędką, gdy silne chlupnięcie wody w pobliżu przynęty zwróciło moją i murzynów uwagę, że coś się tam dzieje.

Wysłałem jednego z ludzi na zwiady.

Ten podpełzał ostrożnie ku palikowi, a stwierdziwszy, że połowa liny zniknęła w rzece, dał nam znać lekkim świśnięciem, abyśmy się do niego zbliżyli.

Ruszyliśmy na pomoc.

Gdyśmy się znaleźli przy nim, ujęliśmy dobrze linę, a chcąc się przekonać, czy co tkwi na haku, podciągnęliśmy ją ku sobie. Wówczas krokodyl, który widocznie przynętę już połknął, szarpnął sobą tak raptownie, że połowa nas wywaliła się na ziemię i puściła na chwilę

*) po ang.: Crocodile-river, tak nazwaną z powodu wielkiej ilości krokodylów, jakimi się chlubiła.

z rąk linę. Trwało to oczywiście tylko parę sekund, poczym, dzierżąc już ją mocno, to podciągaliśmy ku sobie, to popuszczali, aż poczuliśmy, że krokodyl więcej się nie szarpie, ale pływając na głębszym miejscu, robi ruchy wahadłowe (przy dobrze naprężonej linewce), wyciągając nam ją z rąk metr za metrem.

Nareszcie stop! — lina dobiegła końca. Palik ją zatrzymał. Ponieważ w trakcie szarpania się poczułem, że coś w wędce pod wodą trzasło, a płaz się uspokoił — postanowiłem dać mu na razie spokój a holować dopiero za dnia, gdy się już dobrze wody napije. Poleciwszy moim ludziom, aby pilnowali zdobyczy, sam wróciłem do domu.

Zbudzono mię zaraz po ukazaniu się słońca. Wiadomość, jaką dostałem, brzmiała pomyślnie. Krokodyl nie tylko tkwił na haku, ale i kilkakrotnie nawet pokazywał się na powierzchni wody, a przede wszystkim nie szarpał się więcej.

Wnet znalazłem się na plaży, uzbrojony w karabinek. Zaczęło się holowanie.

Po małej próbie oporu, przy czym to wypływał na wierzch, to nurkował, dał się ciągnąć po powierzchni wody bijąc ustawicznie ogonem, aż dostaliśmy go na płyciznę. Tu szarpnął się jeszcze kilkakrotnie, a widząc, że nie zdoła się w tył cofnąć, oparł się nogami o grunt z całej mocy. I rozwarł przy tym swą potworną paszczę, jakby nam chciał grozić, z czego korzystając, strzeliłem w jej środek.

Eksplodująca kula rozerwała czaszkę.

Jakkolwiek śmierć nastąpiła momentalnie, to odruchy ciała, a zwłaszcza ogona, trwały jeszcze dobrą chwilę.

W tym czasie z sąsiednich domów nadbiegło wielu murzynów, ciekawych niezwykłego widowiska. Przy ich pomocy wyciągnęliśmy płaza na brzeg — na tę samą plażę, gdzie przed rozpoczęciem moich łowów zginęło od jaszczurów pięcioro ludzi. Był to nie lada okaz; mierzył przeszło szesnaście stóp ang., co na naszą miarę czyni prawie pięć metrów.

Najpierwszą czynnością, do której zaraz przystąpiono, była sekcja żołądka.

Znaleźliśmy tam — prócz sporej liczby paciorków, jakie noszą tubylcy — jedną większą obrączkę mosiężną w dobrym stanie, drugą mniejszą, pogniecioną, oraz dwie z drutu splatanego — miedziane, obie do połowy kwasami żołądkowymi nadżarte.

Nie można było wątpić skąd te przedmioty pochodziły. Był to udokumentowany ludojad!

— — — — — — — — — — — — — —

Jakkolwiek powyż opisany sposób łowienia krokodylów dawał dużo emocji i można się było doń zapalić, nie mając jednak w sobie nic z myślistwa, nie potrafił mnie tak zainteresować, jak łowy z bronią palną, dałem więc jaszczurom spokój — przynajmniej o ile rozchodziło się o łowienie na wędkę.

Dok. nast.



ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

31. III. 1937.

CZĘŚĆ VI.

Wiosna

Znów szumisz nam Wiosno w czarownym rozkwicie
i budzisz uśpione zimowym snem życie. —
W zamglonych wieczorach i w porannych słońcach
o jakaś przecudna, bogata i lśniąca;
aż bór się rozpręża rozkosznie zdziwiony
i chwyta cię całą w potężne ramiony,
a ty się uśmiechasz w złocistym poranku
i szeptasz baśń jakąś, wspaniała kochanko. —

O! któż twoje szczęście ogromne wypowie,
gdy sypiesz dokoła dojrzałym pąkowiem,
gdy w rosy się skrzących przyglądasz ognikach
i budzisz w świt grajka — leśnego konika!

A kiedy z mchów miękkich i krzywych korzeni
wyprzędziesz szlak nici srebrzystych strumieni,
gdy wiatrem cieplućhnym przechodzisz po drzewach,
gdy każda gałązka i pęk świeży śpiewa,
gdy półmrok zapadnie i z mgłą płynie szarą
niziutko, doliną wąwozów i jarów,
gdy w marzeń zadumie spać kładą się lasy,
Wiosno!
ile w tobie cudu i niesztucznej krasy!

A kiedy ptaków wszystkich poprzedzana gwarą
przechodzisz się w królestwie lasów, wód i mszarów,
nim zbudzą się do dzieła pracownicy leśni,
wołasz króla pieśniarzy do wspaniałej pieśni. —

Mszar bulgoce radośnie, tuli olchy chore,
przewala się i płaszczy — z nim tysiąc jeziorek
zwołuje mgły najdalsze, aby już zawczasu
skryły w sobie przed wrogiem to bożyszcze lasu,
bagnom każe bulgotać od najskrytszych brzegów,
jeśli tylko usłyszą kroki myśliwego —
wnet zastyga w bezruchu urzeczony cały,
chciwie chwyta najczulsze, miłosne hejnały,
pieśń tęsknoty, zwątpienia, zawodu, kochania
(młoda brzózka aż piersi wstydliwie przysłania)
pieśń pieszczoty, pieśń szału, upojeń, zwycięstwa —
czarny ptak pręży skrzydła jak kniaź czarnoksięstwa,
skacze w miejscu drapieżnie na znak, że rywale
gotów zabić, rozszarpać w swym miłosnym szale,
chwilę czeka na wroga, chwilę słodko marzy
i znowu pieśń czarowna w dal płynie po mszarze.
tek... tek... tek... tek... tek... teklklklklklkl — tek... tek...
tek... tek... tek... teklklklkl... czszi-czszi-czszi-czsziczszini
tek tek tekl...
i mszar się tylko w niemym podziwie wsłuchuje
a brzozom, białym nawet się nigdy nie śniło,
że takie czułe pieśni może skrzesać miłość —
Ty, Wiosno, tylko patrzysz z ciekawością wielką
i śmiejesz się figlarnie złota Czarodziejko.

Lecz kiedy grom zahuczy do pierwszej ulewy,
nie ma w tobie nic z cichej i łagodnej dziewy —

błyskawic berło twoje rumienią mosiężną
każe wierzyć, że jesteś najdumniejszą księżną;

i kiedy twego gniewu rozdudnią się grzmoty
ze stromych gór spadają potężne wywroty!
Strumyki ciche, w których blask się słońca mienił,
z rumotem toczą kłody, najcięższe kamienie, —
las, po którym wiał zefir nad wierzcholków górą,
szaleje w dzikiej walce z szyderczą wichurą, —
księżyc blady romantyk spływa z nieba gmachu
i w największe chmurzyska chowa się ze strachu,
myśliwy zaś, co czółnem pobłądził wśród toni,
ostatkiem sił do brzegów niewidocznych goni,
a ty spienioną falą wytrącasz mu wiosło
dla igraszki — nieznośna, lekkomyślna Wiosno!

Lecz znów za chwilę słońce rozświetlasz łaskawie;
cieszy się świat brylantów na zroszonej trawie,
tęczę wielką rozsnuwasz na nieba sklepieniu,
oddajesz się w zadumie dziewiczym marzeniom,
słuchasz pieśń na fujarce przestrzenną i rzewną
i śnisz o Królewiczu najczulsza Królewno...



JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita“

(Ciąg dalszy)

XI. ZBAWCA

Cygan straszliwie się nudził. Ludzie, jeśli mają pieniądze, leczą nudę podróżowaniem; Cygan był w szczęśliwszym położeniu, nie potrzebował tu niczego więcej, oprócz czasu, a tym rozporządzał do woli. Co chwila też zmieniał miejsce pobytu. Ciepło było i pogodnie, do odpoczynku nory nie było potrzeba... Codziennie zwiedzał nowe okolice, a zawsze wzdłuż potoka, gdzie i o rybkę i raka nie było trudno, a jedno i drugie mile urozmaicało kuchnię podróżnika.

Któregoś wieczora zawędrował do lasów nad gościńcem, pełnych skał i bezdroży, a przez to unikanych przez człowieka. Szedł swoim zwyczajem — pod wiatr — gdy wtem poczuł zapach lisi. Stanął. Po chwili o nastawione bacznie uszy obiło się wyraźnie cichutkie skomlenie. Zaciekawiony, posunął się naprzód, a w duszy, o dziwo, na odgłos tej dziecięcej skargi, odezwało mu się jakieś obce, nieznane mu dotąd uczucie. Bez chwili wahania skoczył naprzód i niebawem stał już przed norą. Lisięta, na pół oszalałe z głodu, rzuciły się ku niemu, szukając zbawcego wymienia. Cygan, wystraszony tą pomyłką, uskoczył dwa metry w bok, sieroty za nim. Widząc, że to nie przelewki, usiadł na wystającej nad norą skale, gdzie mógł się czuć bezpieczny w swej męskości i frasobliwie podrapał się za uchem. Coś musiało mu przyjść do głowy, bo zeskoczył ze skały, wsunął się do nory, poczem wyszedł i, jak strzała, popędził w las.

I znów lisięta zostały same. Przytulone do siebie, drzemały przed norą, co chwila tylko któreś z nich, widocznie trawione głodową gorączką, budziło się, biegało błędnie w kółko i zrezygnowane — wracało do rodzeństwa.

Gdzieś w górze oderwał się kamyczek, poruszony niebaczną stopą i wesoło toczył się w dół, aż uderzywszy o pień buka, legł u jego korzeni. Potem zwiędłe liście zaszeleściły i szelest ich stawał się coraz wyraźniejszy. Jedno z lisiąt zbudziło się, może to matka wraca? — Wtem, rozsunęła się zielona ściana i przed norą stanął Cygan. Hej! jaka radość! jakie szczęście! Ostra jego mordka trzyma misternie za główki cały wianuszek polnych myszy! Złożył je przed norą i w tej sekundzie — cała gromadka wściekle rzuciła się do jadła. Z radosnym pomrukiem pracowały ostre ząbki i po małej chwili nawet śladu mysich kosteczek nie było przed norą. Po raz wtóry Cygan zniknął i po raz wtóry wrócił z nową serią myszek.

Do rana przyniósł jeszcze chomika, zdybanego pod miedzą. Nie pomogło srokaczowi rozpaczliwe parskanie i skakanie; Cygan schwycił go w powietrzu i jednym ściśnięciem szczęk wypuścił żarłoczną duszę z ciała. Nie bawił się z nim, jak zwykle gdy był w dobrym humorze, nie skakał, nie obracał się w udanym strachu, bacząc tylko na to, aby mu ofiara nie uszła do bliskiej norki. Dziś na to nie było czasu, dziś czeka na trochę pożywienia kilka głodnych pyszczków, prawdopodobnie sierot. Boć przecież matka nie zapomniałaby o nich, gdyby żyła. Do takiej podłości zwierzę nie jest zdolne; co innego człowiek, ten człowiek, który uważa siebie za najmądrzejszego twora na ziemi, który przypisuje sobie setki najpiękniejszych cnót, a stąd i prawo sądzenia innych, człowiek, który nie uznaje prawa do życia stworzenia, które mu nie służy, a które dzięki swemu uzębieniu tym a nie czym innym musi się żywić.

Prócz macierzyńskiego mleka nic nie brakowało lisiętom, zresztą mięsa mając do syta, prędko przestały do niego tęsknić. Cygan w zupełności zastępował im matkę, a był od niej bezsprzecznie i doświadczeńszym i przebieglejszym łowcem. W roli opiekuna czuł się wybornie, a kto wie — może znalazł w niej cel życia... Bezustannie przetrząsał całą okolicę, nie gardził żadną zdobyczą, stał się za to jeszcze śmielszym, jeszcze odważniejszym. Tu dopadł w gęstej leszczynie nieostrożnego jarząbka, tam znów przyłapał starego zająca na wieczornym żerowisku, a nad sychym potokiem porwał z przed nosa starej sarnie ledwie dwudniowe młode. Podchodził pod samą wieś, upodobawszy sobie specjalnie jarzębate plymoutki samego pana gajowego.

Nic dziwnego, że pod taką opieką lisięta miały brzuszki stale wypchane i rosły w oczach. Mało im już było miejsca przed norą; ciekawością powodowane — zapuszczały się coraz dalej w las, a najstarszy któregoś dnia towarzyszył nawet Cyganowi w łowieckiej wyprawie.

Przestały już wyczekiwać na opiekuna — same chodziły naprzeciw niego, przy czym nieraz zdarzyło się pochwycić młodą głupią myszkę. Była to wyborna szkoła samodzielności i łowiectwa. Wyrabiały się zmysły, orientacja, doskok, pełzanie i chwyt. Tu dowiedziała się młodzież, że nos rozpozna niebezpieczeństwo na wielką odległość, że oznajmia zdobycz o wiele wcześniej niż wzrok, ten zaś oddaje usługi tam, gdzie zawodzi nos, że każdy ruch w lecie tworzy fale głosowe, niedostępne i dla nosa i dla oka, lecz zrozumiałe dla ucha. Dowiedziała się, że nie warto podchodzić zwierzynę z wiatrem, bo ma równie dobry nos, że unikać trzeba spotkania się z psami, włóczącymi się czasem po lesie, że bezcelowym jest rzucenie się na rogacza tak samo, jak i gonienie uciekającego zająca.

Po trochu instynkt, a po trochu doświadczenie powiedziało młodym liskom, że nie potrzebują się obawiać ani dzika ani jelenia, ale za to uciekać powinny na widok twora, co chodzi li tylko na zadnich nogach i nosi na ramieniu błyszczący kij, który wyrzuca pioruny. Nieraz brał je z sobą Cygan na nocne wycieczki, gdy twór ten bywa bezmocny jak małe dziecko. Tu często pokazywał im jego ścieżki; przeskakiwał je jednym susem, snać brzydząc się samego dotknięcia jego śladów. Gościniec pod lasem — ten był ich dopiero pełen. Pachniało tu taką mieszaniną, że ani sposób się zorientować. Świnie, krowy, owce z targu pędzone, kozy, psy, gęsi i kury, smar wozowy, żelazo, benzyna i oleje, ludzki pot, piwo i gorzałka, pieczona rzepa, i dym z kominów, słowem, co kto chce. A wszystko to trzeba umieć rozdzielić na użyteczne, obojętne i niebezpieczne, na przyjemne i niemiłe, na świeże i zwietrzałe...

Wszystko to Cygan umiał na pamięć i gorliwie pouczał o wszystkim pupilów. Z żywiciela stał się ich mistrzem, przewodnikiem w szkole życia. Niesforna to co prawda była gromadka, ale zdolna, pojętna i chciwa wiedzy, toteż nauka zasadzała się raczej na podpowiadaniu, na naprowadzaniu, na budzeniu tego, co poświadomie drzemało w młodych umysłach, jako wiekami utrwalony instynkt.

Po deszczu — wyraźnie znać było wyciski dużych łap starego lisa w otoczeniu drobnych śladów szczenięcych. A tropy te wiodły nieraz Bóg wie gdzie. Zwykle gromadka cała dochodziła aż do wielkiej łąki, zwanej Pliszką, choć na skraju łąki stoi schronisko turystyczne, buchające z komina gryzącym dymem w każdą przedniedzielną noc. Nie szkodzi! jest noc, a człowiek bez słońca jest ślepy. Przekonany o tym, pozwalał Cygan podchodzić pupilom pod sam dom, gdzie nie trudno było o wonne szczątki turystycznych zapasów.

Młode liski szybko dojrzewały na ciele i duszy. — Rzadko która myszka mogła im ujść, a gdy wreszcie pokonały sporego marczaka, uznał je Cygan za samowystarczalne i zniknął im pewnej nocy, jak kamfora.

Jak szybko zniknął, tak też szybko zapomniano o jego dobrodziejstwach. Młodość ma krótką pamięć.

XII. DRUGIE LATO

Zniknął, bo potrzebował trochę wytchnienia. Opieka nad dziećmi, nawet dla lisa, jest rzeczą kłopotliwą.

Błąkał się znów, jak dawniej, po znanych i nieznanych okolicach, zajrzał parę razy do rewiru młodych lisków i przekonał się, że dobrze im się wiedzie.

Było to w pewną ciepłą, sierpniową noc, kiedy to jelenie zwolna gotują się do miłosnych turniejów, a łanie z pewnym lękiem, ale i tajoną rozkoszą, wodzą łzawym okiem za kapitalnymi bykami, zapominając o swych cielętach, unikają ich nieomal, myśląc więcej o tych, co począć się mają niezadługo.

Gdzieniegdzie pobekiwał jeszcze spóźniony zalotnik rogacz, nie wiele zresztą licząc na odrobienie straconego czasu. Dobrze wypierzone jarząbki wiosenne nocowały już na gałęziach. Żółtodziobe drozdy i kosy, z pewnym trudem jeszcze zrywały się — musiały już jednak w chwili niebezpieczeństwa podfrunąć na niewysoką gałąź. Sojek musiało chyba znacznie przybyć, bo las cały od bożego świtu do późnego wieczora rozlegał się przenikliwym ich skrzekiem. Nie przepuściły pod sobą najmniejszego stworzenia leśnego bez głośnego urągania, a już nad lisem — poprostu dziobów nie zamykały. Z Cyganem zaś miały niedawne porachunki o porwaną siostrę i, gdzie tylko mogły, przeszkadzały mu w łowach. A przecież to rzecz zupełnie naturalna, że lis chwyci głupią sojkę, gdy ta nie wie, na co ma skrzydła! Takie jest prawo — więc po co tyle krzyku?

Któregoś ranka trafiła mu się niezwykle ciekawa przygoda. Do dziś dnia nie może się uspokoić i wciąż sobie przysięga, że póki życia, nie dopuści się takiej nieostrożności. — Po całonocnej, bezcelowej włóczędze, o pierwszym różowym brzasku, zachciało mu się Bóg wie skąd, przejść na drugi szczyt, przez sto metrów szeroki pas młodniaku, podrosły gęsto dziką maliną. Pomysł iście godny małego lisiątka, ale nie kutego na cztery nogi cwaniaka, jakim przecież nieraz okazał się Cygan! Jakżeż można iść terenem, mając zupełnie zasłonięty widok przed sobą, Gąszcz — owszem, ale nie taki zwarty splot! — Tak jednak bywa, że i ten najmądrzejszy zgłupieje, czyli — jak się ktoś wyraził — każdy jest na swój sposób głupi.

Blekotu się najadł, czy co u licha? Bo, że minął gąszcz bez żadnych środków ostrożności, to jeszcze nic! Ale kończy się gąszcz dość szeroką drogą, za nią ciągnie się rzadka drągowina i on, stary wyga, najspokojniej wychodzi sobie na drogę! Nie postoi krok przed nią, nie złapie wiatru z prawa, z lewa, nie nastawi uszu na wszystkie strony... obłęd, czy fatum?

Wyskoczył na drogę, z przyzwyczajenia dotknął nosem starej kolei wozowej, rzucił okiem na prawo za jakimś ptakiem, potem bezmyślnie na lewo... Do kopy diabłów! O dziesięć kroków przed nim leśnik ze strzelbą! Serce przestało mu bić ze strachu, ale jednym skokiem przesadził drogę i rwał, co sił, rzedką drągowiną pod górę, każdej sekundy czekając swego końca. Ale strzał nie padł. — Czyżby cud?

Nieomal — tak! Leśnik właśnie powracał do domu z nocnego obchodu i pilnie wypatrywał starego znajomka — rogacza, co tyle razy wywiódł go w pole. Co chwila stawał i patrzył. I miał rację, bo nie masz dla myśliwego nic lepszego, nad częste stawanie i obserwacja. W tem zaszumiało coś leciuchno — ledwie o dziesięć kroków od niego. Z przyzwyczajenia — broń leci do oka, a nerwy napinają się jak struny. Zbytecznie! Po takim szme-

rze wyskoczyć może chyba głupi zając, wracający z nocnej paszy, nic innego!... Lecz dziś wyskoczyło co innego i to coś takiego, czego w pierwszej chwili leśnik nie umiałby może nazwać. Niby lis, ale nad miarę wielki, z kitą wspaniałą, zdobną na końcu śnieżno-białym kwiatkiem, a czarny, jakby się w sadzach wylegiwał. Ani śladu lisiej czerwieni — — istny uciekinier z jakiejś egzotycznej czy polarnej farmy!

Nerwy wymówiły leśnikowi posłuszeństwa na ten widok. — Wprawdzie, gdy zjawisko skoczyło w drągowinę, poleciała za nim muszka strzelby, lecz w głowie błysła myśl inna: „Nie zabijaj tego cudnego zwierzęcia, tego przepysznego węglarza! Co ci po nim w lecie? Może ci Djana da spotkać go w zimie, po śniegu... jaka rozkosz dla ciebie? jaka zazdrość u kolegów? Puść go!“

Opadła lufa, lecz wzrok leśnika długo jeszcze biegł za migającym w drągowinie Cyganem.

Tak to ocalił nasz bohater swe czarne futerko. Chcąc się we własnej opinii zrehabilitować, stał się od tej chwili podwójnie ostrożnym do tego stopnia, że niepodobna go było ujrzeć, choćby na największą odległość, a w całej okolicy mówiono, że się z niej wyniósł, lub — że nawet zginął. Dziesięć razy przechodził leśnik tę samą drogę, bez złych zamiarów, byle tylko zobaczyć Cygana, godziny całe przesiadywał w różnych porach dnia, i nie ujrzał go ani razu. Pozostawała jedyna nadzieja: śnieg i ponowa.



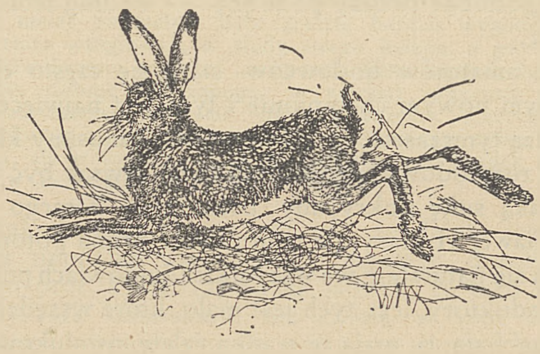
FRANCISZEK Hr. MYCIELSKI

Wieści o nowej zarazie zajęcy

Dzienniki węgierskie, wychodzące w Czecho-Słowacji, jak Prágai Magyar Hirlap, wychodzący w Pradze, oraz Hirádo, wychodzący w Pressburgu, coraz częściej piszą o straszliwej zarazie zajęczej, która zaczęła się szerzyć w zimie bieżącego roku w Czechach i na Morawach, a zaczyna docierać już do niektórych powiatów Słowaczyzny, szczególnie w okolicy Pressburga i Tyrnau. Zaraza ta, zdaje się, że dotychczas nieznana, jest prawdopodobnie rodzajem dżumy i ma tę właściwość, że przenosi się z zajęcy na ludzi, dla których jest bardzo groźną i według wyżej wspomnianych dzienników spowodowała już kilka wypadków śmierci. Nazwaną została tularémia. Na ludzi przenosi się nie tylko przez żywe lub zabite zwierzę, ale również przez spożycie mięsa z zarażonego zająca, a podobno zaszedł nawet wypadek zarażenia się człowieka z wyprawionej skórki zajęczej. Objawem u ludzi jest puchnięcie wszystkich kończyn, poczem przychodzi ogólne porażenie i śmierć.

Oczywiście dzienniki biją na alarm, tym bardziej, że dotychczas nie znaleziono lekarstwa skutecznego na tę chorobę. Faktem jest, że w niektórych okolicach władze wydały już nie tylko zakaz sprzedaży ubitych zajęcy, ale nakazano wystrzelanie z największą dokładnością przez obławy wszystkich zajęcy ze względu na bezpieczeństwo publiczne. Poza tym zakazano tępienia szkodników, zwłaszcza wśród ptaków drapieżnych, jak jastrzębi i orłów wszelkiego rodzaju, które chore egzemplarze łatwiej usuwają.

Jeżeli alarmy te są nawet przesadzone, należałoby może, aby nasze władze łowieckie zasięgnęły możliwie dokładnych informacyj w tej sprawie, gdyż zawleczenie tej zarazy do nas byłoby oczywiście katastrofą dla naszego łowiectwa. Jeżeli ktoś z Szan. Czytelników ma również jakieś wiadomości o wyżej podanych faktach, może zechciałby się nimi podzielić na łamach naszego „Łowca“ z innymi myśliwymi, ze względu na ogólne dobro naszego łowiectwa.



KINOLOGIA

STEFAN WIKTOR

Kilka uwag o hodowli terrierów

Fachową hodowlą nazywamy produkowanie jednego typu championów i zdobywców najwyższych nagród, stale w większej ilości, a nie w pojedyńczych wypadkach.

Każda hodowla musi być oparta na ścisłych zasadach hodowlanych rozsądku i wytrwałości, wymaga wiele cierpliwości, czasu i pewnych środków pieniężnych. Jeżeli hodowcy braknie choćby tylko jednego z podanych warunków, to lepiej hodowli nie rozpoczynać. — Gwiazdą przewodnią w hodowli psów, jest „typ“. — Ażeby wychować jak największą ilość sztuk najlepszej jakości, musi się mieć jeden ród i przez chów w pokrewieństwie, typ tego rodu najsilniej utrzymać. U nas przeciętny hodowca obawia się zawsze silnego chowu w pokrewieństwie, chów taki nie jest jednak, umiejętnie stosowany, wcale niebezpiecznym, jest nawet naturalnym, możemy go zatem stosować w praktyce jak najdalej posuniętej, a mimo tego będziemy produkować psy zdrowe, silne, o świetnych nerwach i wielkiej inteligencji, a to tak długo, jak długo będziemy do tego używali jednego i tego samego silnego i zdrowego rodu.

W ten sposób wychowano na przykład koguty do walk, które przez setki lat są selekcjonowane i prowadzone w chowie krewniaczym! Także „Laverack-settery“ od lat 50 są chowane w pokrewieństwie, a z tego powo-

du nie ucierpiały nic na swojej jakości, lecz przeciwnie zalety rasy się spotęgowały. Również zwierzyna dziko chowana jest często w silnym chowie krewniaczym, co pozostaje bez uszczerbku dla ich rozwoju, naturalnie przy odpowiednich warunkach terenowych i pokarmowych.

Jest dziś cały szereg rodów odznaczonych na wystawach, powstały przez chów w pokrewieństwie, i jest rzeczą ustaloną, że my tylko przez taki chów, pewien ustalony typ możemy stworzyć i ten typ potem utrzymać. — We własnej praktyce przekonałem się, że pokrycie nawet najlepszej suki, psem bardzo dobrym, lecz zupełnie nie spokrewnionym, powoduje tylko stratę czasu, w rezultacie rzadko, raczej prawie nigdy nie daje potomstwa równego, dobrego, a tylko czasem pojedyńcze lepsze jednostki.

Wprawny hodowca potrafi łatwo rozpoznać typ poszczególnych hodowli, gdyż taki przez chów w pokrewieństwie typ swoich psów umacnia i potęguje. Wiemy, że każda rasa powstała z chowu w pokrewieństwie; wiemy, że „podobne tworzy podobne" — według teorii dziedziczenia.

Wielu amatorów hodowców stara się często chować po każdym nowym championie i tych jest najwięcej, gdy nie wiedzą tymczasem, że główny nacisk musimy kłaść na materiał rozpłodowy żeński i ten musi zawsze być prima, a gdy taką sukę pokryjemy psem tego samego rodu, choćby nawet II klasy, da nam zawsze prima potomstwo. Zdarzają się naturalnie we wszystkich hodowlach pojedyńcze reproduktory, lecz tych jest mało, które wszędzie i zawsze przebijają, tj. mają tę rzadką zaletę, produkować pewien typ, najczęściej bardzo do siebie podobny, bez względu na to, jaką pokryją sukę.

Tak pies jak i suka, aby dawały potomstwo odpowiednie do użytku i wystaw, muszą być zdrowe i silne, o wybitnym typie, o męskim charakterze, stałe bowiem cechy dziedziczą się niezmienniej niż cechy świeżo nabyte. Są tylko wyjątki, by słabe indywiduum dawało dobre potomstwo, przynajmniej takie są moje doświadczenia, moje wszystkie wybitne jednostki pochodzą od suk silnych o męskim typie.

Radzę zatem początkującym hodowcom za każdą nawet najwyższą cenę nabywać suki najlepsze o tak zwanym wyglądzie i charakterze męskim, a taka jest zawsze więcej warta, jak nawet kilka innych hodowlanych przeciętnych suk, bo przeciętne nigdy nie urodzą championów. Naturalnie przy tego rodzaju hodowli musimy bardzo uważać na błędy rodziców, bo błędy znacznie uporczywiej się dziedziczą, niż dobre zalety.

Rozumie się, że tej metody chowu w pokrewieństwie nie należy ciągle stosować. Potrzebny jest od czasu do czasu dopływ świeżej krwi tej samej rasy, z obcych rodów. Jeżeli chce się wyjść z jednego rodu i przejść w drugi, wtenczas musimy wyszukać psa, o silnym rodzie krewniaczym, który jest wybitny w żądanych przez nas punktach. Najlepszą sukę z takiego małżeństwa kryje się potem bratem, synem albo wnukiem twórcy tego rodu, albo jakimkolwiek psem, który w ten sam sposób jak kryjący pies, był wychowany w silnym i bliskim pokrewieństwie o wybitnych cechach rasy. — Potomstwo z takiego związku krzyżuje się znowu między sobą, naturalnie tylko znowu najlepsze suki, z psem tego samego pochodzenia, co pierwszy pies, wtenczas musimy osiągnąć żądany rezultat, a gdy to już mamy, musimy przy tym powstałym rodzie się silnie trzymać i dalej go umiejętnie hodować.

Dobrym hodowcą trzeba się urodzić, samo wyuczenie hodowli nie wystarczy, jest to sztuka, którą trzeba umieć i rozumieć. Do tego jest koniecznie potrzebne dobre oko, trzeba dużo widzieć, posiadać dużą praktykę, a nadto trzeba jeszcze ciągle w tym kierunku pracować, i mieć możność dużo okazów danej rasy porównać i stwierdzić jej użyteczność. Trzeba mieć zrozumienie, co się chce i jak do tych rezultatów dojść, mieć tę zdolność, ocenić po budowie nawet każdego spoczywającego psa i poznać jak on będzie wyglądał w pracy. Jeżeli tych zalet hodowca nie ma, to nigdy nie potrafi wychować dobrych okazów. Naturalnie hodowcy nie wolno być fantastą.

Niektórzy ludzie są tego przekonania, że najważniejszą rzeczą to pochodzenie (pedigree). Bezsprzecznie, że ono dużo znaczy, może nawet do 90%, ale przy dobrym psie. Ze złego osobnika przy nawet najlepszym pochodzeniu trudno jest coś dobrego wychować, mogą się takie wypadki zdarzyć, jednak bardzo rzadko, są to wyjątki. Hodowca musi być obeznany z indywidualną wartością i błędami każdego psa w rodowodzie.

W hodowli w pokrewieństwie bardzo niechętnie łączę brata ze siostrą, albo syna z matką, za to pół-brata ze siostrą, wuja ze siostrzenicą, albo wnuczka z dziadkiem.

Spotyka się wielu hodowców, którzy są zawsze zachwyceni swoimi produktami, a jeżeli na wystawach i pokazach nie zdobędą nagród, to winę składają na niefachowość sędziów; tacy nigdy się nie wybiją na czoło jako hodowcy. Nigdy nie trzeba być tym zadowolonym, co się wyprodukuje, lecz trzeba się ciągle starać o coś lepszego, trzeba ciągle iść z postępem czasu, a nawet trzeba się starać go wyprzedzić. Wielu patrzy wstecz i porównuje swoje psy z psami, które w ubiegłych latach zdobyły nagrody, musimy zapomnieć o tym, co było, co jest już za nami, lecz iść naprzód i patrzyć w przyszłość.

W ostatnich 35 latach hodowli terrierów zostały one wydatnie poprawione i będą jeszcze nadal bardzo poprawione, nim dojdą do idealnej doskonałości.



Notatki bibliograficzne

Gürtler Władysław, Łowiectwo Italii w dobie „Odrodzenia“, Łowiec Polski 1937, nr 6, str. 103—106. Toż samo (ze słuszną zmianą w tytule: Łowiectwo włoskie, zamiast: Łowiectwo Italii), Ilustr. Kurjer Codz., dod. do nru 100/1937 (Kur. lit. nauk. R. XIV, nr 16).

Artykuł oparty jest prawie w całości na książce Chłędowskiego: Dwór w Ferrarze. Któż nie zna tej pięknej książki? Nie nowa już, ale trwałą wartość mająca, bo jak żadna inna roztacza przed nami zwyczaje narodu, który tak wielki wpływ wywarł na naszą kulturę, zwłaszcza za pośrednictwem swych dworów północnych. „Sądzę — pisze Chłędowski — że obraz życia w tych ogniskach włoskiej cywilizacji, których typem był dwór Estów w Ferrarze, pod niejednym względem może być dla nas zajmującym i może podnieść wiele jasnych, a wytłumaczyć wiele ciemnych stron w naszych obyczajach i poglądach“. Nie pomija Chłędowski oczywiście także i tego czynnika, jakim na ówczesnym dworze były zwyczaje myśliwskie i wraca do nich kilkakrotnie.

Nie można mieć nic przeciw temu, ażeby ustępy o tej materii traktujące wydobyć i skleić w artykuł, któremu odpowiednie pióro może nadać odpowiednią formę i wartość. Takim jest pióro prof. Gürtlera. Nasuwają się jednak zastrzeżenia co do metodyki korzystania, przez niego zastosowanej. Powołuje się wprawdzie dwukrotnie na książkę Chłędowskiego, ale właśnie dlatego, że czyni to tylko dwa razy przy sposobności jakiegoś drobnego szczegółu, czytelnik mógłby zapytać, skąd wzięta jest reszta. Jest ona wzięta również z Chłędowskiego, niektóre ustępy są nawet niemal dosłownie przepisane. Czyż nie byłoby prostszem podać odrazu sumaryczną uwagę, że artykuł jest opracowany na takiej a takiej podstawie?

Jestem zwolennikiem absolutnej przejrzystości w tym, co się zwie autorstwem. Czytelnik powinien być zorientowany, co autor daje od siebie, a co bierze lub „zapożycza“ od kogo innego.

To jest rzecz zasadnicza. Ale ma ona także praktyczną stronę. Wyjaśnię na przykładzie. Gürtler pisze m. i., że jeden z władców Ferrary, Borso, „nabył dla swej biblioteki cenną książkę Dantesa pt.: *De natura falconum et de remediis avium* i często do niej zaglądał“. Informacja ta dzieli się na dwie części: 1) że Borso miał taką „książkę“ i 2) że do niej „często zaglądał“. Pierwsza część jest wzięta (bez powołania się) z Chłędowskiego (zob. Dwór w Ferrarze, str. 461), druga jest dodatkiem p. Gürtlera. Otóż co do pierwszej części pozwalam sobie stwierdzić, że wymieniona „książka“ nigdy nie istniała. Pan prof. Gürtler nie mógł oczywiście przypuścić, że wiadomość, podana przez Chłędowskiego, jest mylna. Pomijam już niewłaściwość użytego przez Chłędowskiego wyrażenia „książka“ kiedy mowa o XV wieku, gdyby nawet owe rzekome dzieło było drukiem (tzw. inkunabułem). Ale najważniejsza, że nie było wcale autora nazwiskiem czy imieniem Dantes, któryby pisał o sokolnictwie. Nie od wczoraj zajmuję się historią literatury łowieckiej nie tylko naszej, ale i obcej, mogę więc dać krótkie wyjaśnienie, o co tu niewątpliwie chodzi. Otóż istniał w średniowieczu rękopiśmienny traktat łaciński o „przyrodzie sokołów i o ich leczeniu“, którego autorem był zagadkowy król Danchus względnie Dancus. Była to prawdopodobnie pierwsza wogóle rzecz o sokolnictwie. Oryginał uchodzi dotąd za zaginiony, zachowały się natomiast bardzo stare przekłady na język włoski i francuski, częściowo później drukiem ogłoszone. Przekład francuski np. pochodzi z XIII wieku, dokonał go, być może Albert Wielki Święty. Nie będę się tu rozwodził nad tą sprawą, bo zajęłoby to zbyt wiele miejsca, a nie należałoby już do rzeczy. Być może, że w tej powodzi źródeł, z jakich Chłędowski korzystał, była gdzieś wzmianka o słynnym rękopisie, może nawet wskazówka, że Borso posiadał jego oryginał później zaginiony. W każdym razie Chłędowski, jak widać, nie orientował się w tym przedmiocie, bo się tymi rzeczami nie zajmował, nazwisko zaś autora rękopisu albo sam fałszywie powtórzył, albo stało się to z winy drukarza. Gdyby p. Gürtler, podając ten szczegół, był zacytował źródło, byłby uniknął przyjęcia na siebie podwójnego błędu.

Gorzej jest z drugą częścią wspomnianego twierdzenia. Borso „często do niej (tj. owej „książki“) zaglądał“. Otóż właśnie, że nie zaglądał, bo nie mógł zaglądać. Z tej prostej przyczyny, że nie umiał po łacinie. Dowiedziałby się był prof. Gürtler o tej prawdzie, gdyby był się dokładniej zapoznał z książką, z której tak obficie czerpał.

Oto, co pisze Chłędowski na str. 64:

„Rządy Borsa były klęską dla humanistów. Panowanie łaciny się skończyło; książę zajmował się polityczną intrygą, łowami, urządzał festyny, ale po łacinie nie umiał i o łaciników mało się troszczył.“

I dalej na str. 65/66:

„Nie umieć po łacinie było zresztą bardzo wygodnem, cała więc Ferrara wstępowała w ślady swego księcia, a gdy jednemu z podestów kazano przysłać „accipitrem bene legatum in sacculo“ (jastrzębia dobrze związanego, w worku) sumienny urzędnik kazał natychmiast schwycić jakiegoś księdza („arcypasterza“) i w worku go posłał według adresu. Może to tylko złośliwa anegdota, ale w każdym razie charakteryzująca upadek łacińskiej kultury w Ferrarze.“

W zakończeniu chcę zaznaczyć, że daleki jestem od zamiaru umniejszania wartości bogatego dorobku literackiego prof. Gürtlera. Sądzę jednak, że tego rodzaju artykuły, jak omawiany, nie zajmą w tym dorobku pierwszego miejsca i że nie wyrugują stamtąd znakomitych opowiadań i obrazków z własnego przeżycia. One to były i będą idealną domeną dla jego talentu, tą domeną, w której się z taką swobodą, z taką swadą i z takim temperamentem zawsze poruszał, stwarzając rzeczy naprawdę oryginalne i naprawdę wartościowe.

Witołd Ziembicki

† Ś. p. Ks. LUDWIK NIEDBAŁ

zmarł w 64-tym roku życia, a 42-im kapłaństwa 1 marca b. r. w Poznaniu.

Polski świat łowiecki żywo obeszła śmierć tego znakomitego myśliwego i wielkiego miłośnika przyrody. Był on prezesem i członkiem honorowym Tow. Łowiec Wielkopolski w Poznaniu, brał czynny udział w organizacji łowiectwa polskiego po odzyskaniu niepodległości, interesował się żywo sprawą języka łowieckiego i wydał w tej dziedzinie własny elaborat. I w literaturze łowieckiej zajął godne stanowisko. Wydał kilka oryginalnych prac, jak Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski, najczęściej używanych wyrazów i zwrotów gwary myśliwskiej, Z Łowisk Wielkopolskich itp.

Cześć pamięci wielkiego kapłana i myśliwego.

† Ś. p. Pułk. lekarz
Dr WALERIAN MADEJEWSKI

długoletni członek M. T. Ł. zmarł dnia 7 kwietnia 1937 we Lwowie, mając lat 48.

Cześć Jego pamięci!

Korespondencje

Sambor, dnia 3 marca 1937.

Sprawozdanie z wyniku polowań w powiecie samborskim za rok 1936.

Rok 1936 zaznaczył się wybitną poprawą zwierzostanu w stosunku do lichego roku ubiegłego. Tak stan sarn jak i zajęcy jako też kuropatw był więcej niż dobry, a najlepszym tego dowodem wyniki tegorocznych polowań.

Samborskie Towarzystwo Myśliwskie, złożone z 14 członków, upolowało latem 10 kozłów, 148 kuropatw, 37 krzyżówek, ponadto w sezonie zimowym na gremialnych polowaniach padło w Babinie 84 zajęcy, w Brześcianach (leśne) 79 zajęcy i 6 lisów, w Dorożowie 39 zajęcy i 1 lis, w Kulczycach Rustykalnych 38 zajęcy i 3 lisy, w Łanowicach 32 zajęcy, w Mistkowicach 35 zajęcy i 1 lis, w Nadybach (leśne) 34 zajęcy i 3 lisy, w Baczynie 26 zajęcy, w Torczynowicach 20 zajęcy, w Sozaniu (leśne) przy fatalnej pogodzie 15 zajęcy, w Samborze (polne) trzy polowania 346 zajęcy, oraz w Zarajsku 24 zajęcy i 2 lisy w kociołku.

Oficerskie kółko myśliwskie 6-go pułku Strzelców Podhalańskich polowało w Biskowicach (polne) z wynikiem 82 zajęcy i 4 lisy ubite w kociołkach, w Kulczycach Szl. (leśne) dwudniowe 55 zajęcy i 1 lis.

W Radłowicach u W. P. Barańskiego (polno-leśne) 78 zajęcy i 3 lisy. Stan zwierzyny na tym terenie wybitnie się poprawił.

W Sielcu u W. P. Podolskiego (leśne) i polne 63 zajęcy i 3 lisy.

W Humieńcu u W. P. Popiela padło na leśnym polowaniu 40 zajęcy i 6 lisów.

W Rakowej na terenie dzierżawionym przez W. P. Hołyńskich z Brylikowa padło 43 zajęcy.

W Barańczycach na terenie lasów W. P. Ujejskiej (Barańczyce Chlewiska) opolowało wymieniony teren Samborskie Tow. Łowieckie z wynikiem 59 zajęcy i 9 lisów.

Prócz tych polowań u podpisanego na terenie Brzegi Piniany zabito w 7-miu miotach polnych pędzonych 85 zajęcy (kilka lisów wyszło sprytnie daleką flanką), na terenie dzierżawionym również przez podpisanego Byków Ortynice Prusy zabito 75 kuropatw i 38 zajęcy, opolowując teren w 4 strzelby mieli myśliwi komiczne spotkanie z lisem śpiącym w słońcu w głębokiej bruździe, którego strzelono spod nóg, jak zająca.

Na terenie Dublany-Kranzberg Ozimina, dzierżawionym przez W. P. Szwarza, zabito ogółem 124 zajęcy.

Wiele terenów, jak Uherce W. P. Smalawskiego i Nowoszyce W. P. Strzeleckiego, w tym roku nie opolowano zupełnie, z którego to powodu było nieco szemrania między myśliwską bracią, lecz miejmy nadzieję że następny rok przyniesie pożądaną zmianę.

Z tego krótkiego zestawienia wyników polowań na terenach, które opolowuje się raz do roku i co do których można zebrać dokładne dane od obecnych tam myśliwych, wynika, że na ogół stan zwierzyny jest dobry i stale się poprawia.

Ilość terenów dzierżawionych przez myśliwych na mięso jest już nader mała i mamy nadzieję, że zmiana stosunków nastąpi wkrótce, gdy postanowienia nowej organizacji myśliwskiej wejdą w całej pełni w życie.

Bolesław Strzelecki
Del. M. T. Ł.

Stanisławów, dnia 25 marca 1937.

Na razie przedkładam sprawozdanie z działalności Towarzystwa Myśliwych w Stanisławowie.

Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie egzystuje od r. 1879, a więc jest jednym z najstarszych w Małopolsce, a jeżeli się nie mylę, to drugim z kolei po Towarzystwie Lisowickiem. Liczyło w r. 1936 26 członków. Dzierżawiło 14 gromad, a to: Chomiaków, Chryplin, Czerniejów, Czukałówka, Drohomirczany, Opryszowce, Mykietyńce, Iwanikówka, Stryhańce, Radcza, Zabereże, Uhorniki, Uzin, Puchówka i dwa obszary dworskie Uzin i Stryhańce o łącznym obszarze około 15.000 ha.

Na 15 polowaniach gremialnych zabito w r. 1936/37: rogaczy 1, lisów 4, zajęcy 807, kuropatw 9, kaczek 10, jastrzębi 3, puchacza 1, psów 5, kotów 1, razem 842 sztuk, czyli przeciętnie 56 sztuk na jednym polowaniu, przy udziale przeciętnie 10 strzelb.

W pojedynkę zabito: rogaczy 4, słonek 71, kuropatw 64, kaczek 134, derkaczy 7, przepiórek 41, kszyków 26, dubeltów 10, siewek 2, gołębi 10, jastrzębi 3, bąków 1, kotów 5, wron i srok 30.

Straż łowiecka zabiła: psów 34, kotów 13, jastrzębi 5, wron i srok 171, jaj szkodników zniszczono 1069; wypłacono strzałowego 113,99 zł. Kłusownik zabił jednego rogacza.

Ogółem więc zabito zwierzyny pożytecznej 1201 sztuk, szkodników 272 i jaj zniszczono 1069.

Stan sarn, zajęcy i kuropatw w stosunku do lat poprzednich znacznie się poprawił. Z przelotnego ptactwa były niezłe naloty słonek i pojawiły się już dawno prawie niewidziane dubelty i przepiórki. Pogorszył się znacznie stan dzików, które się wyniosły do większych kompleksów leśnych z powodu wyrębów i ciągłego ich niepokojenia oraz pogorszył się stan lisów z powodu parchów.

Oprócz Towarzystwa Myśliwych egzystują w Stanisławowie jeszcze 3 towarzystwa, tj. Towarzystwo św. Huberta, Towarzystwo Knieja i Towarzystwo Watra (ruskie); po otrzymaniu od nich sprawozdań przedłożę je dodatkowo.

Z prywatnych polowań, których rezultaty są mi znane, wymienić należy polowania w Błudnikach 12 i 13 stycznia u p. Mariana Jaroszyńskiego w 14 strzelb zabito 2 dziki, 5 lisów, 150 zajęcy; 28 stycznia w Rybnem u p. Stanisława Burzyńskiego w 10 strzelb zabito 1 lisa, 42 zajęcy (fatalna pogoda); 30 stycznia w Zagwoździ u p. Brykczyńskiego Benedykta w 6 strzelb: 34 zajęcy i 1 jarząbka (fatalna pogoda); w lutym w Posieczu w rewirach gr.-kat. Metropolii, dzierżawionych przez p. Naczelnika Sambora, w 5 strzelb 5 dzików.

Z polowań w innych powiatach, w których brałem udział, a o których wzmianki w „Łowcu“ dotąd nie czytałem, należy wymienić polowanie w Gwoździcu u br. Horocha Józefa w dniu 4. I. rb. przy fatalnej pogodzie i kompletnej odwilży, w 2 kotłach i 10 miotach leśnych zabito w 7 strzelb: 357 zajęcy, 1 jarząbka i 10 różnych szkodników. Razem 368 sztuk. Stan zwierzyny nadzwyczajny, polowanie znakomicie prowadzone. Gwoździec jest dziś najlepszą knieją na drobną zwierzynę w województwie stanisławowskim.

2 stycznia w Psarach u hr. Ludwika Reja padło 9 lisów, 62 zające i 3 różne.

Inż. Stanisław Burzyński
Delegat M. T. Ł. na pow. Stanisławów

Sambor, dnia 20 marca 1937.

Z życia myśliwskiego w Samborze.

W dniu 14 marca b. r. Samborskie Towarzystwo Łowieckie żegnało na wspólnej koleżeńskiej wieczerzy W. P. Adamostwa Biedermanów z Rajtarowic, którzy w niedługim czasie opuszczą tutejszy powiat.

P. Adam Biederman, del. M. T. Ł. i długoletni członek tut. Towarzystwa Myśliwskiego, ceniony zawsze przez wszystkich myśliwych z powodu swych wysokich zalet towarzyskich i nadzwyczajnej znajomości łowiectwa i niepisanych praw i tradycyj myśliwskich, był zawsze atrakcją i duszą naszych polowań. Jego ogromna rutyna w sprawach myśliwskich nieraz rozstrzygała spory i małe nieporozumienia na miotach wynikłe, a słowo jego w tych sprawach miało moc orzeczenia bezapelacyjnego.

Niestrudzona wyznawczyni i czcicielka Diany Jego szanowna małżonka, towarzyszka wszystkich łowów w każdej porze roku, zapisała się również chlubnie na karcie naszych wspomnień myśliwskich, a jej spokój i zimna krew na stanowisku była niejednemu gorącemu myśliwemu nauką jak oczekiwać lisa, bo lisy były Jej specjalnością.

Dlatego ze szczerym żalem i na prawdę od serca żegnało nasze Towarzystwo Myśliwskie przemiłych towarzyszy, życząc Im, by jeszcze długie lata św. Hubert darzył ich swoją łaską i opieką.

Bolesław Strzelecki
Del. M. T. Ł.

Z łowisk Ordynacji Łańcuckiej.

W roku 1936/37 odbywały się na obszarze Ordynacji Łańcuckiej głównie polowania kniejowe. W polu i w bażantarniach polowano coprawda także, jednak na skromną skalę, w nielicznym zespole myśliwych — raczej tylko dla odstrzału nadmiernej ilości kogutów bażancich, pomijając aspiracje na doroczne normalne rozkłady.

Knieja wydała pierwszy plon myśliwski w okresie rui sarn. Przelornetowano w tym czasie na podjazdach kilkaset kozłów, z czego 28 szóstaków przyniosło tyleż złomków jodłowych odnośnym myśliwym.

Listopad i grudzień 1936 ożywił niejednokrotnie łańcuckie ostępy leśne gwarą wypróbowanych nemrodów i palbą ich dubeltówek. Natomiast w styczniu 1937 strzelby wisiały na kołkach, bo albo — jak w pierwszej dekadzie tego miesiąca była wykluczająca polowanie chlapka, albo — jak w dalszym ciągu sezonu — panowały potężne mrozy, przy tym zawiesista okiść lub szalała okrutna wichura jak tajfun.

Na zbiorowych polowaniach kniejowych przy przeciętnym zespole 10—12 myśliwych zastrzelono: w leśnictwie Leżajsk 6 lisów, 29 zajęcy; w leśnictwie Brzyska-Wola 1 słonkę, 13 lisów, 74 zające; w leśnictwie Wydrze 6 lisów, 58 zajęcy — gdzie w jednym z miotów kapitalny łopatacz daniel przedefilował z powagą niemal wzdłuż całej linii myśliwych; w leśnictwie Gaj ubito 138 zajęcy; w Kraczkowej 101 zajęcy, 13 bażantów; w leśnictwie Sarzyna położono 1 wycinka, 13 lisów, 58 zajęcy. Łowiska polne i bażantarnie dały łączny pokot: 3 kozły, 1150 bażantów, 956 zajęcy.

Po doliczeniu do powyższych cyfr zwierzyny, zastrzelonej bądź przygodnie, bądź z okazji małych polowań o charakterze czysto hodowlanym — zamknęliśmy nasz „Pamiętnik Łowiecki" za ubiegły sezon myśliwski następującym ogólnym rozkładem: dzików 3, kozłów 31, lisów 77, zajęcy 1458, bażantów 1150, kuropatw 453, kaczek 28, słonek 23, zwierzyny drapieżnej 4644 sztuk.

W ciągu całego roku schwytano 37 kłusowników, którym odebrano 27 strzelb i 186 wnyków.

Cześć Łowcom!

Inż. W. Krawczyński
Dyrektor lasów.

Korespondencja z Rzeszowskiego.

Rudna, w kwietniu 1937.

Tradycyjnym zwyczajem przesyłam dla kochanego „Łowca" znowu jedno sprawozdanie łowieckie.

Wszyscy widzimy jasno, że chwilowo znajdujemy się „na przełomie", a takich chwil przełomowych lepiej zbyt dokładnie nie analizować. Rozpoczynamy „podróż w nieznane" i to tak w życiu politycznym, jak ekonomicznym, jak i łowieckim.

W ostatnich czasach było u nas pod każdym względem bardzo smutno, pod względem łowieckim rozpaczliwie. Dziś mamy do zanotowania szereg faktów pierwszorzędnej wagi, które mogą na prawdę zapoczątkować okres **„prosperity"**, że wymienię tu tylko **znaczną zwyżkę cen na produkty rolne i na drzewo**, a co za tym idzie powrót naszych gospodarstw do opłacalności, która nam umożliwi konieczne inwestycje i to tak rolne, jak leśne, jak i łowieckie w kraju, — **deklarację Pułkownika Koca**, a co za tym idzie początek konsolidacji twórczych i umiarkowanych elementów, co umożliwić nam znowu powinno poważną i produktywną pracę — a wreszcie najnowszą **reorganizację łowiectwa**, która łatwo może stworzyć z polskiego łowiectwa prawdziwą potęgę w całym tego słowa znaczeniu. Na szczegółową analizę dzisiaj stanowczo za wcześnie, za wcześnie bawić się w proroka, a stwierdzam tylko, że rozpoczynamy „marsz w nieznane" — ale mam wrażenie, że do bardzo jasnej i pięknej przyszłości.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przechodząc do właściwego sprawozdania łowieckiego, to zaznaczyć muszę, że rok 1936/37 był u nas rokiem raczej pomyślnym dla rozmnoży zwierzyny.

Kuropatw było u nas w ubiegłym sezonie bardzo dużo, poprawił się także stan bażantów, w rewirach dobrze prowadzonych zauważyliśmy powiększenie się stanu sarn, a lisy wystąpiły u nas tak licznie, że spowodowały nawet znaczne szkody w zwierzostanach i bażantarniach. Jeleni u nas mało. Najwięcej jest ich w bratkowickich lasach p. Stanisława Bala, gdzie cieszą się racjonalną opieką łowiecką, tudzież w Budach Głogowskich, gdzie podobno ma się je przez cały rok tępić. Dzik należy niestety w tutejszym powiecie do rzadkości. Kaczek widywało się dużo.

Zając, ta podstawowa zwierzyna, zawiódł w roku 1936/37 u nas oczekiwania. Na wielu terenach, na których w ubiegłych latach były dobre lub średnie rezultaty polowań, zmniejszył się teraz stan zajęcy katastrofalnie. Nic w tym dziwnego; ja zawsze twierdzę, że poluje się u nas stanowczo za dużo, a za mało się dba o hodowlę zwierzyny i za mało się tępi szkodniki.

W ostatnich czasach zwłaszcza niszczeje u nas stan zajęcy skutkiem wielkiej ilości kundli wiejskich, włóczących się po polach. Także rozwydrzone wyrostki wiejskie starają się tępić zająca przy pomocy kijów, obciążonych śrubami, co stwierdzono np. w gromadach Staromieście i Trzebownisko. Komisariat Policji w Rzeszowie podał, że w roku 1936 skonfiskowała Policja Państwowa u chłopów 80 sztuk uciętych karabinów i 20 strzelb. Ukrytej broni, nielegalnie posiadanej jest jednak jeszcze bardzo dużo po naszych wioskach.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

A teraz polowania:

1. Na czoło naszych polowań wybiła się w ubiegłym sezonie Rudna Stefana hr. Dąmbskiego, gdzie na polowaniu polnym, przy siarczystym mrozie 10-stopniowym z wiatrem, padło dnia 14 stycznia 1937 w 8 strzelb 147 sztuk, to jest 130 zajęcy i 17 kogutów-bażantów. Paść mogło łatwo o kilkadziesiąt sztuk więcej, gdyby fatalny mróz nie spowodował licznych bardzo „pudeł".

Wspomnę tu także, że na kniejowym polowaniu w Rudnej dnia 24 listopada 1936 ubiliśmy w 12 strzelb 9 lisów i 34 zajęcy, a na podjazdach i podchodach podczas lata 1936 roku padło 7 silnych rogaczy.

Na skutek zezwolenia Urzędu Wojewódzkiego odstrzelono w Rudnej ze względów hodowlanych w ubiegłym sezonie także 3 słabe jelenie-byki.

2. Ślicznie prowadzone polowanie polne u p. Jana Jędrzejowicza ze Staromieścia dnia 16 stycznia 1937 na polach Trzebowniska, Górki, Nowej Wsi oraz części dworskich pól Zaczernia, na którym padło w 10 strzelb przy przykrym 15-stopniowym mrozie z zadymką 139 zajęcy. Preliminowano tam przeszło 200 sztuk i było by na pewne tyle padło w tym wzorowo gospodarowanym łowisku, gdyby nie fatalne warunki atmosferyczne, które spowodowały, że źle strzelano, a co gorsza, że dużo postrzałków uszło za granicę rewiru i tam przepadło.

Na innych terenach p. Jędrzejowicza odbyły się jeszcze w roku 1936/37 następujące polowania:

Dnia 24 października 1936 r. polowano w lesie Głogów w 8 strzelb. Skutkiem bardzo ciepłej aury zające się cofały względnie były w polu. Słonek spodziewanych jak co roku nie było, co jest dziwnym w tych lasach zjawiskiem. Rezultat polowania w Głogowie: 3 lisy, 17 zajęcy i 1 kot.

Dnia 19 grudnia 1936 polowano w lesie Jasionka w 9 strzelb przy zupełnej odwilży. Stan zajęcy słaby, choć poprzedniego roku tam nie polowano. Zające cofały się na nagonkę. Rezultat polowania: 24 zające.

Dnia 24 grudnia 1936 polowano na polach Gęsiówki z rezultatem w 6 strzelb 26 zajęcy.

Dnia 31 grudnia 1936 polowano w lesie Zaczernie w 10 strzelb bez mrozu. W tym rewirze stan zajęcy poprawił się znacznie, ale z powodu ciepłej aury zające się cofały. Rezultat: 1 lis, 57 zajęcy i 4 koguty-bażanty. Bażanty na dobre zagnieździły się w tym rewirze od jakich trzech lat.

Kuropatw padło na terenach p. Jędrzejowicza 404 sztuki, rogaczy 7.

3. Pan Rejent dr Adam Midowicz urządził w ostatnim sezonie na terenach przez siebie dzierżawionych następujące polowania:

Dnia 8 grudnia 1936 polowanie polne w Trzcianie z rezultatem w 15 strzelb 49 zajęcy. Stan zajęcy słaby.

Dnia 19 grudnia 1936 polowanie polne w Świlczy z rezultatem 71 zajęcy w 15 strzelb. Stan zajęcy także słaby mimo dużej opieki dzierżawcy łowiska.

Dnia 29 grudnia 1936 polowanie polne w Zgłobniu ze ślicznym rezultatem 128 zajęcy w 13 względnie w 10 strzelb (od południa). Stan zajęcy świetny.

Dnia 30 grudnia 1936 polowanie kniejowe w Woli zgłobieńskiej, na którym padło w 8 miotach przy udziale 17 myśliwych 3 lisy, 3 rogacze, 59 zajęcy i 2 jarząbki. Rezultat bardzo piękny.

4. Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych urządziło na dzierżawionych przez siebie terenach następujące polowania:

Dnia 14 listopada 1936 polowano w wiklach nad Wisłokiem w Zwięczycy z rezultatem 1 lis, 22 koguty-bażanty, 3 kuropatwy i 31 zajęcy w 21 strzelb. Trzy sztuki uszły bez strzału.

Dnia 5 grudnia 1936 odbyło się polowanie polne w Staromieściu, na którym padło w 15 strzelb 110 zajęcy.

Dnia 12 grudnia 1936 polowano na polach w Grzybyszówce i strzelono tam przy udziale 22 strzelb 115 zajęcy, 2 psy, 2 sroki i 1 wronę.

Dnia 24 grudnia 1936 urządziło Towarzystwo Myśliwych polowanie w Staroniwie do godziny 14 po południu. W sześciu kotłach padło tam przy udziale 15 myśliwych 71 zajęcy. Stan zajęcy w Staroniwie bardzo dobry.

Dnia 16 stycznia 1937 na polowaniu polnym Kielanówka-Racławówka uzyskało Towarzystwo Myśliwych przy udziale 15 strzelb rezultat 108 zajęcy. Stan zajęcy wcale dobry.

Dnia 23 stycznia 1937 ubito na polach Zwięczycy w 18 strzelb 80 zajęcy.

Dnia 30 stycznia 1937 padło na polach Woliczki i Błędowy Zgłobieńskiej w 8 strzelb 63 zajęcy.

Nie spolowano z powodu złej pogody rewiru leśnego Błażowa i pól w Bratkowicach.

Na terenach dzierżawionych przez Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych poluje się tylko raz do roku i pozostawia się $^1/_3$ część terenu w spokoju.

Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych ubiło ogółem w roku 1936/37 na swych terenach: 3 lisy (z czego 2 lisy w lasach Lipnica powiat Kolbuszowa), 623 zajęcy, 20 bażantów, około 400 kuropatw (odstrzał indywidualny na wylosowanych łowiskach), 1 gołębiarza, 1 sowę, 4 krogulce i kilkaset wron i srok.

5. Na polowaniu kniejowo-polnym w Czudcu (tzw. „Zamkowy las") u p. Adama Uznańskiego padło dnia 4 listopada 1936 w 11 strzelb 107 sztuk, to jest 3 lisy, 88 zajęcy, 9 kogutów-bażantów, 1 jarząbek, 5 kuropatw i 1 jastrząb.

6. Dnia 24 października 1936 odbyło się polowanie kniejowe w Strzyżowie u p. Ignacego Konopki. W kilku miotach leśnych ubito w 10 strzelb: 50 zajęcy, 20 kogutów-bażantów, 2 słonki, 2 jarząbki i 2 kuropatwy, razem sztuk 76. Polowanie bardzo piękne i doskonale prowadzone. przez gospodarza, który stara się usilnie o podniesienie swego zwierzostanu.

7. Dnia 28 listopada 1936 na polowaniu polnym u p. inż. Jurkowskiego w Zarzeczu i Siedliskach ubito w 15 strzelb 51 zajęcy i 3 kuropatwy.

8. Na polowaniu polnym w Tyczynie u p. Witolda Uznańskiego padło dnia 21 grudnia 1936 w 6 strzelb 35 zajęcy.

9. Na polowaniu kniejowym u p. inż. Glognera w Mrowli ubito w 15 strzelb dnia 23 grudnia 1936 roku 3 rogacze, 2 lisy i 24 zajęcy. Stan zajęcy słaby.

Tyle mniej więcej odbyło się legalnych polowań w tutejszym powiecie i takie były ich rezultaty. Ile wytłukli kłusownicy, jakie ilości zajęcy ubili „na omyka" różni strzelacze i różni ulegalizowani tępiciele zwierzyny, posiadający własne lub wydzierżawione tereny — któż to zgadnie? Statystyka taka musiałaby być prawdopodobnie bardzo smutna.

Miejmy nadzieję, że zapoczątkowana reorganizacja łowiectwa polskiego te stosunki gruntownie na lepsze zmieni.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Na zakończenie wspomnę jeszcze, że w dniu 22 czerwca 1936 przyłączył się Rzeszowski Wojskowy Klub Łowiecki po uprzednim rozwiązaniu się, do Towarzystwa Myśliwych w Rzeszowie i przyjął jego statut. Sfuzjonowane Towarzystwo liczy 21 członków. Na walnym zgromadzeniu Rzeszowskiego Towarzystwa Myśliwych uchwalono jednomyślnie na wniosek prezesa p. dr Adama Midowicza nadać godność członka honorowego p. prof. Władysławowi Gürtlerowi, długoletniemu i zasłużonemu sekretarzowi Towarzystwa. W celu zaś uczczenia 25-letniego jubileuszu pracy pisarskiej prof. Gürtlera ofiarowało mu Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych album pamiątkowe z odpowiednią dedykacją i z fotografiami wszystkich obecnych członków tego Towarzystwa.

Stanisław Korwin-Milewski,

Lwów w kwietniu 1937.

Od całego długiego szeregu lat danem mi było, dzięki wielkiej dla mnie uprzejmości łaskawych gospodarzy, uczestniczyć w polowaniach w Płotyczy, Petlikowcach i Zaleszczykach Małych, będących obecnie własnością Erazma hr. Korytowskiego, a polowałem w Płotyczy i Petlikowcach za czasów Dziadka obecnego właściciela śp. hr. Juliusza Korytowskiego, a w Zaleszczykach Małych za czasów śp. Władysława Boguckiego a następnie Ojca obecnego właściciela śp. Felicjana hr. Korytowskiego.

Z kniejami tymi łączą mnie najmilsze wspomnienia myśliwskie, to też z roku na rok cieszę się nadzieją, że jeżeli Bóg pozwoli, a bardzo łaskawy Gospodarz mnie zawezwać zechce, odwiedzę znów te tak miłe dla mnie knieje.

Z początkiem grudnia 1936 r. polowaliśmy w lasach Płotyckich. Odwilż i deszcz utrudniały polowanie, toteż rezultat nie mógł być taki, jak się można było spodziewać. W 9 strzelb padło 9 lisów i 229 zajęcy. Dnia 18 stycznie br. na polowaniu w Petlikowcach przy silnym wietrze i 23 stopniach mrozu padło 5 lisów i 131 zajęcy. W Zaleszczykach Małych dnia 29 stycznia br. przy silnej zamieci śnieżnej i 25 stopniach mrozu w 10 strzelb padło 6 dzików, 8 lisów i 118 zajęcy, a dnia 30 stycznia br. z powodu zamieci i mrozu wzięto tylko cztery mioty leśne i jeden kocioł, a na rozkładzie w 7 strzelb z nalazło się 175 zajęcy. Na polowaniu w Zaleszczykach Małych zabiła pierwszego swego dzika, pierwszym strzałem z Schönauera pani Helena Fedorowiczowa, a mnie przypadło w udziale pasowanie na dzikacza tę piękną i bardzo miłą Towarzyszkę myśliwą. W pozostałych rewirach nie polowano.

Stanisław Pieńczykowski.

Przedkładam sprawozdanie delegackie (właściwie podłowczowskie") za rok 1936-37, z powiatu przeworskiego. Pora mocno spóźniona, czekałem jednak dotąd napróżno na ogólne zestawienie powiatowe, którego mi pomimo obietnicy nie dostarczono. Sprawozdanie to jest więc tylko fragmentaryczne i odnosi się w pierwszym rzędzie do moich własnych łowisk w północnej części powiatu. Z reszty łowisk otrzymałem tylko kilka informacyj i to dzięki koledze — podłowczemu Z. Wolskiemu z Siennowa. Z ordynacji Przeworskiej otrzymałem tylko ogólne zestawienie. Szczegółowe wyniki polowań w łowiskach ordynackich podać ma Zarząd Ordynacji w osobnym artykule.

Jak wspomniałem, nie dysponuję nawet ogólnym oficjalnym zestawieniem rocznym z całego powiatu. Właściciele, bądź też dzierżawcy łowisk nie kwapią się z wypełnianiem kwestionariuszów Starostwa, które do spraw tych nie przywiązuje większej wagi. Skutkiem tego władze powiatowe nie orientują się należycie w zwierzostanie i wynikach polowań na terenie znacznej części powiatu. Stosunki te ulegną zmianie na lepsze być może dopiero w takim razie, o ile dojdzie do skutku i wejdzie w życie nowelizacja prawa łowieckiego, wraz ze wszystkimi rygorami organizacyjnymi. W tej chwili działalność dawnych delegatów, a obecnie łowczych i podłowczych, i to nawet tylko sprawozdawcza, jest ogromnie utrudniona i z konieczności ogranicza się do niewielu łowisk lepiej znanych.

Wyjątkowo lekko zima 1935-36 r. umożliwiła przetrwanie znacznej większości zwierzyny. Wczesna wiosna rokowała jak najlepsze nadzieje na powiększenie zwierzostanu i doprowadzenie go do wysokiego poziomu. Sprawdziło się to odnośnie do zajęcy (choć motylica i inne choroby porobiły duże szczerby w ich stanie), sarn i bażantów, natomiast stan kuropatw pozostawiał wiele do życzenia. Wpłynął na to niekorzystny przebieg pogody podczas lęgów (słoty i zimna), miejscami grad, wreszcie bardzo wczesne sianokosy i żniwa. Że w skład łowisk, zwłaszcza w północnej części powiatu, wchodzą przede wszystkim grunty chłopskie, więc nic dziwnego, że podczas wczesnych sianokosów i żniw ulega zniszczeniu masa gniazd kuropatwich, niekiedy i bażancich. Wszędzie tam, gdzie rozciągają się duże przestrzenie pól i łąk bez zarośli — naturalnych remiz (o remizach sztucznych i innych środkach ochrony nie można tu nawet marzyć), stan kuropatw był słaby. Natomiast wzdłuż rzek, gdzie nadbrzeżne zarośla dały im ochronę, w sąsiedztwie zagajników leśnych itp., stan ten był dużo lepszy, miejscami bardzo dobry. Uderzało to zwłaszcza nad Sanem, gdyż tam utrzymało się jeszcze sporo wiklin. Inaczej jest nad Wisłokiem, więc też i warunki rozmnoży dla ptactwa są tutaj dużo gorsze. Dodatnie znaczenie zarośli nadrzecznych niknie nie-

kiedy wskutek zbyt późnego i niszczycielskiego wycinania wiklin na wiosnę. Tak np. późną wiosną 1936 r. wycięto sporo wiklin u ujścia Wisłoka do Sanu (Głogowiec-Dębno), niszcząc przez to kilkanaście gniazd bażanckich.

Stan ptactwa wodnego i błotnego bardzo słaby. Wyjątkowo sucha wiosna 1936 wysuszyła doszczętnie wszystkie prawie śródpolne bagienka i moczary, zmuszając kaczki i inne ptactwo wodne i błotne do emigracji na tereny wilgotniejsze, a położone daleko stąd.

Stan sarn bardzo dobry, nadmierny w stosunku do zamieszkiwanych przez nie obszarów (najmniej 1 sztuka na 5 ha lasu sosnowego na ubogiej glebie). Brak dobrej paszy naturalnej i nadmiar kóz powodują, że poroża kozłów są stosunkowo słabe. Sarny wyrządzają z roku na rok więcej szkód zarówno w kulturach leśnych, jak w zasiewach. Przezimowawszy w lesie, wiosną w znacznej części rozchodzą się wokoło, kilometrami wędrując po polach i łąkach, zdala od macierzystej knieі. Szkody, jakie przytem wyrządzają w plonach, wywołują zupełnie uzasadnione, a coraz to większe niezadowolenie małorolnych właścicieli tych pól. W związku z tem jest rzeczą niemożliwą pozwolić na dalsze zwiększenie się stanu tej zwierzyny. Konieczny jest przytem odstrzał kóz, przeprowadzany obecnie w myśl specjalnego zezwolenia.

Reasumując to wszystko, zwierzostan tegoroczny przedstawia się następująco:

Zające — stan bardzo dobry, około 130% zeszłorocznego, około 250% przedwojennego.

Sarny — stan znakomity, około 130% zeszłorocznego, około 300—400% przedwojennego.

Bażanty — stan bardzo dobry, około 150% zeszłorocznego, około 250% przedwojennego.

Kuropatwy — stan nieco słabszy, około 80% zeszłorocznego, około 100% przedwojennego.

Ptactwo wodne i błotne — stan słaby, około 50% zeszłorocznego, około 50% przedwojennego.

Lisy — wskutek tępienia stan ich nie powiększa się, a nawet się zmniejsza i wynosi obecnie około 50% przedwojennego. Tępienie zresztą zdąża nie do zupełnego wyniszczenia tej cennej zwierzyny, lecz tylko do ograniczenia jej ilości. Jest to konieczne ze względu na charakter tutejszych łowisk, no i na stan bażantów, które żyją tutaj i rozmnażają się dobrze na dziko, karmione jedynie w zimie.

Stan ptactwa drapieżnego w łowiskach dobrze zagospodarowanych zmniejszył się znacznie. Tak np. u niżej podpisanego wynosi obecnie w stosunku do przedwojennego około 70% odnośnie do wron i srok, około 60% o ile chodzi o krogulce, gołębiarze, błotniaki. Niestety walka z tymi szkodnikami jest niezmiernie trudna, gdyż nie jest prowadzona powszechnie. W znacznej ilości łowisk ochrona zwierzyny łownej pozostawia bardzo wiele do życzenia. Nic dziwnego, że całe falangi skrzydlatych szkodników, mnożących się tam bezkarnie, nadlatują stamtąd do łowisk, zagospodarowanych prawidłowo, wyrządzając w nich znaczne szkody.

W roku ostatnim zwiększyło się znacznie kłusownictwo i wnykarstwo. Pozostaje to w związku z postępującym rozprzężeniem i obniżeniem poczucia prawnego u ludności wiejskiej. W środkowej i południowej części powiatu daje się bardzo we znaki kłusownictwo z broni małokalibrowej.

Wyniki polowań (fragmentaryczne):

Strefa I. południowa (karpacka):

W Sieteszy, u p. Bronisława Łastowieckiego polowano w knici w dn. 9. I. 1937. W 11 strzelb ubito 2 lisy, 1 jarząbka, 34 zające.

Strefa II. środkowa (podkarpacka):

W Pantalowicach u p. dr Zygmunta Łubkowskiego polowano w dn. 9. XII. 1936 w 7 strzelb i ubito w kotłach 67 zajęcy.

W Łopuszce Małej u p. Kazimierza Pogonowskiego polowano w dn. 12. I. 1937 w 8 strzelb i ubito w kotłach 90 zajęcy.

W Krzeczowicach, majątku Polskiej Akademii Umiejętności, polowanie na zające w dn. 26. I. 1937 nie udało się wskutek fatalnej aury.

W Siennowie u p. Zdzisława Wolskiego, podłowczego powiatowego, ubito ogółem: kozłów 5, lisy 2, zajęcy 56, bażantów 37, kuropatw 148, przepiórek i chróścieli 49, psów 27, kotów 55, łasic 7, wron 38, srok 87, drapieżnych 18 (w tem 4 gołębiarze).

Polowanie na zające w dniach 25—26. XII. 1936 nie udało się wskutek szalonej zamieci śnieżnej przy bardzo silnym mrozie. Stan zajęcy i bażantów bardzo dobry, kuropatw dobry (mniejszy niż w r. 1935/36).

W łowiskach Ordynacji Przeworskiej (strefy II. i III.) ubito ogółem: 12 kozłów, 3 lisy, 965 zajęcy, 184 bażanty, 123 kuropatwy, 1 kszyka, 1 słonkę, 5 królików, 4 borsuki, 77 psów, 132 koty, 30 tchórzów, 10 łasic, 4 kruki, 176 wron, 158 srok, 9 gołębiarzy, 26 krogulców.

Szczegółowe wyniki polowań w tych łowiskach podać ma Zarząd Ordynacji w osobnym artykule.

Strefa III. północna (niżowa):

W łowiskach niżej podpisanego polowano:

2—3. XII. 1936 w Tryńczy, Chodaczowie, Głogowcu i Ubieszynie. Polowanie kociołkowo-łozinowe. Stopa krasa, mokra. Strzelb 9—12. Ubito 180 zajęcy i 3 bażanty.

14—15. XII. 1936 w Gorzycach, Ubieszynie, Tryńczy, Wólce Ogryzkowej. Polowanie kociołkowo-kniejowe. Stopa krasa, półtwarda, w pierwszym dniu deszcz. W 16—17 strzelb ubito 424 zające, 3 bażanty, 1 lisa. Królował dr Adam Midowicz z 53 zającami.

Ogółem w łowiskach niżej podpisanego ubito: 7 lisów, 11 kozłów, 6 kóz (odstrzał), 667 zajęcy, 32 bażanty, 307 kuropatw, 21 przepiórek, 6 gołębi dzikich, 5 chróścieli, 1 kszyka, 45 kaczek dzikich, 11 sztuk innego ptactwa, 89 psów, 168 kotów, 138 wron, 139 srok, 1 gołębiarza, 10 krogulców, 2 błotniaki — razem 1666 sztuk na obszarze około 6400 ha.

Tryńcza, 12. IV. 1937.

podłowczy powiatu przeworskiego.
Dr Marian Nowiński

Cześć św. Hubertowi!

Lelechówka, dnia 13 kwietnia 1937.

Przesyłam spis ubitej zwierzyny w ciągu roku 1936, na terenie majątku Lelechówa: dzików 6, zajęcy 56, lisów 8, słonek 5, czapel 5, psów 4, rogaczy 10, wydra 1, jarząbek 1, dzikich kaczek 26, jastrzębi 12, kotów 5, razem zwierzyna łowna 133 sztuk, szkodniki 26 sztuk. Dr Stanisław Hr. Tyszkiewicz.

KOMUNIKATY

Zwraca się uwagę, że w myśl §§ 54 i 71 statutu należy o terminie, miejscu i porządku dziennym Walnego Zgromadzenia Powiatowego przynajmniej na dwa tygodnie naprzód ogłosić w „Łowcu".

Z Wydziału M. T. Ł.

WALNE ZGROMADZENIE Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych Oddział Lwowski, odbędzie się dnia 8 maja b. r. o godz. 16-tej w lokalu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Lwów, ul. Ossolińskich 11, schody 5.

Ulm m. p. — sekretarz Mniszek m. p. — prezes

KOMUNIKAT

W dniach 4—7 lipca br., obradować ma we Lwowie XV Zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Obrady będą się odbywały w 34 sekcjach, wśród których Sekcja XIV obejmuje następujące działy:

1) Historię i filozofię medycyny,
2) Historię i filozofię nauk przyrodniczych,
3) Sprawy prasowe lekarskie i przyrodnicze,
4) Bibliografię lekarską i przyrodniczą,
5) Terminologię lekarską i przyrodniczą.

Na porządku dziennym znajdą się i takie tematy, które mogłyby niewątpliwie zainteresować naszych myśliwych, jako miłośników przyrody i jej dziejów (zwłaszcza referaty z dziedziny ochrony przyrody, z historii różnych działów przyrodoznawstwa, z historii niektórych instytucyj itd.).

Osoby, któreby pragnęły wziąć udział w posiedzeniach Sekcji XIV, czy to czynny, czy w charakterze gości, zechcą się porozumieć z podpisanym jej gospodarzem.

Gospodarz Sekcji XIV.
Dr Witołd Ziembicki
profesor historii medycyny
na Uniwersytecie J. K. we Lwowie.
Lwów, ul. Bielowskiego 6.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Komunikat w sprawie wkładek członkowskich.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego, wobec licznych zapytań, wyjaśnia tą drogą, że składki członkowskie na rzecz Związku, w myśl § 14 statutu, wynoszą:

dla członków zwyczajnych, korzystających z pełni praw (m. i. czynne i bierne prawo wyborcze, prawo noszenia odznaki członkowskiej, używania związkowego stroju łowieckiego) zł 10,— rocznie;

dla członków nadzwyczajnych — zł 5,— rocznie.

Prawa i obowiązki członków zwyczajnych i nadzwyczajnych określają §§ 8, 9, 10, 12 i 13 statutu Związku.

Stowarzyszenia Łowieckie, jako takie, z tytułu należenia do Związku — osobnych składek nie opłacają, natomiast obowiązane są przestrzegać, aby ich członkowie składkę związkową opłacali regularnie.

Prawa i obowiązki Stowarzyszeń Związkowych określa § 7 statutu.

Wpływy ze składek członkowskich w 50% przeznaczane są na wydatki Oddziałów Wojewódzkich i Powiatowych Rad Łowieckich, w 50% zaś na wydatki władz centralnych Związku.

Żadnych innych opłat od członków na rzecz Związku statut Polskiego Związku Łowieckiego nie przewiduje.

ZAWODY W STRZELANIU DO RZUTKÓW

Wzorem lat ubiegłych urządza Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach w dniach 16 i 17 maja b. r. trzecie z rzędu

Ogólno-Polskie Zawody w Strzelaniu do Rzutków.

Zawody odbędą się w Warszawie na terenach Strzelnicy Szczęśliwickiej Polskiego Związku Łowieckiego.

W Zawodach mogą brać udział wszyscy zaproszeni myśliwi i strzelcy. Warunki brania udziału wyszczególnione są w zaproszeniach i afiszach.

Podkreślić należy, że Zawody urządzane przez Państwową Wytwórnię Prochu mają już swoją ustaloną tradycję i przyczyniły się do rozwoju pięknego sportu myśliwsko-strzeleckiego.

Zawody, które odbędą się w roku bieżącym ściągną niewątpliwie liczne rzesze młodych i nieznanych zawodników, między którymi znajdzie się zapewne wielu przyszłych mistrzów.

Zgłoszenia zawodników przyjmuje Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, w terminie do dnia 10 maja b. r.

Powiat Stryj — Województwa Stanisławowskiego.

Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego, odbędzie się w Stryju dnia 13 maja 1937 w sali Wydziału Powiatowego o godzinie 14,30, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie,
2) Wybór sekretarza i 2-ch asesorów do Prezydium Zgromadz.,
3) Wybór 5-ciu członków Powiatowej Rady Łowieckiej,
4) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Oddziałowe M. T. Ł. we Lwowie.
5) Wnioski w sprawach dotyczących gospodarki łowieckiej w powiecie stryjskim.

Dr Janusz Trzcieniecki
Łowczy Powiatowy

Pierwsze sprawozdanie o ukonstytuowaniu się Powiatowych Kół Łowieckich otrzymaliśmy od Panów Łowczych Jana Madeyskiego i gen. Walerego Maryańskiego z powiatów sokalskiego i złoczowskiego.

KOMUNIKAT

Dnia 30 maja b. r. odbędzie się na placu Targów Wschodnich impreza pod nazwą „Pani i pies", urządzona pod egidą Związku hodowców psów rasowych oddział lwowski.

Impreza ta będzie łączyła pokaz psów rasowych z przeglądem mody wiosennej. Prosimy właścicieli i miłośników psów o liczny udział. Bliższych wyjaśnień udziela biuro Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Łowczy powiatu lwowskiego zaprasza przedstawicieli Towarzystw myśliwskich do Związku należących i na obszarze powiatu tereny posiadających tudzież myśliwych, posiadających tu tereny łowieckie lub w powiecie zamieszkałych, na Walne zgromadzenie powiatowe w dniu 16 maja 1937 r. o godzinie 11-tej w sali Rady powiatowej ul. Mochnackiego l. 4.

Porządek dzienny:

1) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej i jej ukonstytuowanie się.
2) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie M. T. Ł. jako Oddziału Związku.
3) Wolne wnioski.

Leon Krzeczunowicz
Łowczy

Uwaga na obrączkowane kuropatwy!

Dr Ernst Schuz, dyr. znanej Stacji Ornitologicznej w Rossitten w Prusiech Wschodnich za pośrednictwem prof. dra K. Wodzickiego (Warszawa) prosi nas o podanie do wiadomości Myśliwych następującej notatki:

W dorzeczu Niemna w latach 1935 i 1936, późną jesienią zostały zaobrączkowane liczne kuropatwy przez latarnika, p. Posingis. Kuropatwy te były niewątpliwie ptakami przelotnymi. Obrączki użyte do tego celu pochodzą częściowo ze Stacji Ornitologicznej w Rossitten (Prusy Wschodnie), częściowo z Zakładu Zoologicznego Uniwersytetu w Kownie (Kaunas). Byłoby rzeczą ze wszech miar dla łowiectwa ciekawą, gdyby udało się potwierdzić, że niektóre przynajmniej kuropatwy są ptakami przelotnymi. Stacja Ornitologiczna uprasza niniejszym o przesyłanie obrączek za pośrednictwem Stacji Badania Wędrówek Ptaków przy Państw. Muzeum Zoologicznym, Warszawa, Wilcza 67.

SPROSTOWANIE

W Nrze 3-cim na stronie 49 w 11 wierszu od góry miało być „czyli że ciemnego koloru nie może być więcej niż białego", a nie jak mylnie wydrukowano „może być więcej".

TREŚĆ NUMERU 5:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50

ś. † p.

ALBERT Z BUŻENINA MNISZEK

WICEPREZES MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

REDAKTOR „ŁOWCA"

zmarł po dłuższych cierpieniach dnia 2. czerwca 1937 r.

w 70-tym roku życia

o czem Członków Towarzystwa i Czytelników „Łowca" zawiadamia

w żałobie po długoletnim Druhu pogrążony

WYDZIAŁ

MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.